



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1,20 zł - 8 stron

Warszawa, 26 lipca 1953 r.

Nr 30 (174) Rok IV

PAŃSTWOWE NAGRODY LITERACKIE



Zofia Nalkowska

Przyznawane od kilku lat w Polsce Ludowej nagrody państwowe miały dotąd zawsze dwójaki charakter: z jednej strony składały się na bilans najważniejszych osiągnięć w literaturze danego roku, z drugiej — stanowiły, jako nagrody za całokształt twórczości, wyraz uznania i hołdu dla całego życiowego dorobku najwybitniejszych przedstawicieli naszej literatury. Tak się składało, że dotychczas nagrody za całokształt twórczości uzyskiwali przede wszystkim czołowi reprezentanci naszej poezji. W tym roku po raz pierwszy nagrodą państwową tego typu odznaczona została pisarka, której nazwisko wiąże się z całą epoką rozwoju naszej prozy, która dla całego pokolenia polskich prozaików była mistrzynią świetnego pisarskiego rzemiosła, umiejętności obserwowania życia, głębokiego, humanistycznego spojrzenia na sprawy ludzkie. Pisarką tą jest **Zofia Nalkowska**.

Rok temu obchodziliśmy jubileusz 50-lecia jej pracy twórczej. Cały świat kultury polskiej złożył wtedy hołd znakomitej pisarce. Przypomniano, jakie znaczenie miały jej książki w trudnym okresie międzywojennym, jaką funkcję spełniały akcenty krytyki i protestu społecznego zawarte w takich jej powieściach jak „Romans Teresy Hennert” i „Granica”. Podkreślano niejednokrotnie, że w całej naszej powojennej literaturze nie było dzieła, które by ogrom zbrodni faszyzmu odmalowało w sposób równie dobitny i wstrząsający, równie oszczędny i dojrzały artystycznie jak „Medaliony”. Dla każdego komu bliskie są sprawy literatury jasną jest rzeczą, że twórczość Nalkowskiej reprezentuje najświetniejszą tradycję naszej prozy realistycznej. Przyznanie jej w roku bieżącym nagrody państwowej to ukoronowanie całego jej dotychczasowego dorobku twórczego, wyraz uczuć całego społeczeństwa, ogółu czytelników i pisarzy.

W ocenie tegorocznych osiągnięć naszej literatury, ocenie, której wyraz stanowią nagrody, uderza jeszcze dalsze — w stosunku do lat poprzednich — zaostrenie kryteriów wartościowania. Odnosi się to zwłaszcza do takich kluczowych dziedzin naszej twórczości jak proza o współczesnej, polskiej tematyce, której nieobecność wśród utworów nagrodzonych zwraca szczególną uwagę, uwidoczniając dobitnie ostrość zagadnienia, jakie — nie od dziś zresztą — stoi przed ogółem naszych pisarzy: zagadnienia wytoczonej walki o pełny, realistyczny obraz naszej współczesności w literaturze.

O ile przy nagrodach całokształtowych w latach poprzednich na pierwsze miejsce wysuwała się poezja, o tyle wyróżnienia za osiągnięcia bieżące cechuje jak dotąd wybitna przewaga prozy, która w roku zeszłym zamieniła się w wyłączność. Była ona faktem tym bardziej uderzającym, że chociaż rok miniony przyniósł w dziedzinie prozy osiągnięcia istotnie wyjątkowo wybitne, jak książki Newerlego czy Strykowski, to przecież o całkowitym braku osiągnięć poetyckich w dorobku naszej literatury lat ostatnich mówić nie można.

Do poetów, których powojenna twórczość zasługiwała od dawna na szczególne wyróżnienie należy niewątpliwie **Adam Ważyk**, którego wiersze — od czasu głębokiej ewolucji artystycznej w latach wojny — stanowią cenny przykład twórczego szarmonizowania ważnych treści politycznych z jasną, pełną precyzji formą artystyczną. Obok oryginalnej twórczości poetyckiej nagroda przyznana Adamowi Ważykowi obejmuje również jego obfita działalność przykładowa, uwieczniona ostatnio przyswojeniem językowi polskiemu arcydzieła poezji światowej — „Eugeniusza Oniegiina” Puszkina. Nagroda przyznana w momencie toczącej się żywej dyskusji na temat przekładu, nie przesadza niewątpliwie toku tej dyskusji, nie rozstrzyga zagadnienia mniejszych czy większych usterek dzieła tłumacza. Jest ona natomiast z pewnością jasnym wyrazem uznania dla ogromnej i — bez względu na swoje usterek — niezmiernie cennej pracy, jakiej dokonał Adam Ważyk, jeden z naszych najznakomitszych poetów współczesnych, umożliwiającej najszerszym masom polskich czytelników obcowanie z genialnym dziełem puszkowskim.

Na rachunek wyróżnień w dziedzinie poezji zapisać też należy nagrodę jaką uzyskał **Aleksander Malszewski** za sztukę o „Kochanowskim” pt. „Droga do Czarnolasu”, zbliżającą nas do postaci największego przed Mickiewiczem poety polskiego, podkreślającą żywy związek, który łączy na-

szą epokę z najlepszymi tradycjami naszej literatury minionych stuleci. Podejmując bardzo trudne zadanie napisania wierszem utworu dramatycznego o twórcy naszej poezji narodowej, Malszewski wybrnął nad wyraz szczęśliwie z niebezpieczeństw tego zadania, dał utwór tryskający życiem, pełen wyobraźni i kultury artystycznej.

Podkreśleniem wagi jaką Polska Ludowa przywiązuje do oparcia rozwoju naszej literatury o najszerze zaplecze wielkiej tradycji kultury klasycznej jest też przyznanie nagrody prof. **Stefanowi Srebrnemu** za przekład pomnikowego dzieła sztuki starożytnej — „Tragedii Ajaskhlosa”.

Wśród nagrodzonych, utworów prozatorskich na czoło wysuwa się „Wrzesień” **Jerzego Putramenta** stanowiący w tym roku bezspornie najpoważniejsze osiągnięcie w dziedzinie naszej prozy powieściowej. Szeroka, z głęboką pasją nakreślona panorama Polski w pierwszych dniach walki z najeźdźcą hitlerowskim, namiętnie, demaskatorskie obnażenie oblężenia klitki sanacyjnej oraz istotnych przyczyn zwinionej przez nią klęski, składają się na pierwszy w naszej literaturze, równie bogaty i wstrząsający obraz jednego z najważniejszych momentów w dziejach naszego narodu: momentów, które mimo swego tragizmu były wyraźnym wskazaniem kierunku naszej walki, drogi ku Polsce Ludowej. Chociaż w książce Putramenta główny nacisk położony został na wizerunek sprawców i winowajców klęski wrześniowej, a stosunkowo słabiej wypadł w niej obraz ofiarnej wysiłku i bohaterstwa walczących o wolność mas ludowych, to jednak jako całość jest ona niezmiernie cennym literackim świadectwem prawdy o owych dniach, ich służną politycznie i artystycznie udokumentowaną, przenikliwą oceną.

Od innej poniekąd uzupełniającej „Wrzesień” Putramenta strony ujął to samo zagadnienie klęski 1939 roku inny tegoroczny laureat autor powieści „Dni klęski”, **Wojciech Zukrowski**. Powieść jego, znacznie bardziej fragmentaryczna w stosunku do książki Putramenta, jest przede wszystkim cennym dowodem głębszej ideowej ewolucji pisarza, który w twórczości swojej wyszedł swego czasu z pozycji bardzo dalekich od ideologii Polski Ludowej, w ostatnich swoich utworach natomiast dawał wyraz coraz głębszemu zrozumieniu sprawy walki o postęp i socjalizm. Powieść „Dni klęski”, aczkolwiek nie ukazuje jeszcze pełnego ludzkiego oblicza bohatera świadomego celów walki o Polskę Ludową, przeszycona jest jednak uczciwą, rzetelną troską o odmalowanie prawdziwego obrazu bohatera polskiego żołnierza, oddaje trafnie atmosferę patriotyzmu, z jaką naród nasz — wbrew

rzządzającej nim klicie — bronił swojej wolności.

Okresu bliższego nieco naszej współczesności dotyczą nagrodzone dwa tomy cyklu powieściowego **Stanisława Zielińskiego**: „Ostatnie ognie” i „Jeszcze Polska”. Dają one śmiały satyryczny obraz środowiska naszej emigracji w Niemczech zachodnich w chwili zakończenia wojny oraz ujawniają kulisy podziemnych knoów wrogów naszego narodu w pierwszych latach Polski Ludowej, obnażają jaskrawo oblicze rządzącego się faszyzmu amerykańskiego i jego powiązania z hitleryzmem. W powieści Zielińskiego przeważają, podobnie jak u Putramenta, akcenty demaskatorskie, czemu sprzyja określony typ uzdolnień pisarza skłaniający się ku satyrze i grotesce. Chociaż — wobec zapowiedzianego trzeciego tomu cyklu — trudno jeszcze w tej chwili wyrokować o utworze Zielińskiego jako całości — jest rzeczą niewątpliwą, że mamy tu do czynienia — mimo pewnych nierozwiązanych dotąd przez autora powikłań kompozycyjnych — z niezwykle interesującym rodzajem prozy satyrycznej, pełnej humoru i ironii, dużej wnikliwości obserwacji i trafnego wyczuła politycznego.

O ile cykl powieściowy Zielińskiego nad wyraz celny w poszczególnych swoich partiach nie może być jeszcze traktowany jako dzieło zamknięte, o tyle czwarta z nagrodzonych w tym roku powieści, „Rzeka czerwona” **Mirosława Żulawskiego**, uderza przede wszystkim zwartością i lapidarnością, z jaką pisarz uporzył się z szerokim tematem swojej książki: ukazaniem oblicza imperialistycznej polityki na przykładzie tzw. „brudnej wojny”, toczzonej przez rząd francuski w Vietnamie. Operując w dużej mierze twórczą pisarską wyobraźnią, Żulawski oddał niezwykle plastycznie klimat wojny kolonialnej w dalekiej dżungli podzwrotnikowej, odmalował ciekawie atmosferę walki ideowej toczącej się na zachodzie Europy wokół zagadnień kluczowych dla losów pokoju i wyzwolenia ludów uciskanych przez mocarstwa kapitalistyczne. W tym sensie książka Żulawskiego, aczkolwiek w wielu swoich partiach fragmentaryczna, stanowi obok takich pozycji jak „Bieg do Fragała” Strykowski czy „Zwyczajna sprawa” Tarna, jeden z najcenniejszych przejawów zainteresowania, jakie budzą wśród naszych pisarzy ważne wydarzenia współczesnej polityki międzynarodowej.

Odrębną pozycję wśród nagrodzonych dzieł prozatorskich stanowią utwory, którymi pisarze polscy wzbogacili w tym roku skromny zasób wartościowych książek współczesnych, przeznaczonych dla naszej młodzieży. Z prawdziwą radością odnajdujemy wśród wyróżnionych pozycji doskonałą powieść **Heleny**

Boblińskiej „Soso”, opowiadająca w pięknych i prostych słowach o młodości wielkiego Stalina, ujmująca ten wspaniały lecz trudny i odpowiedzialny temat z niezwykłą artystyczną dojrzałością i umiarem.

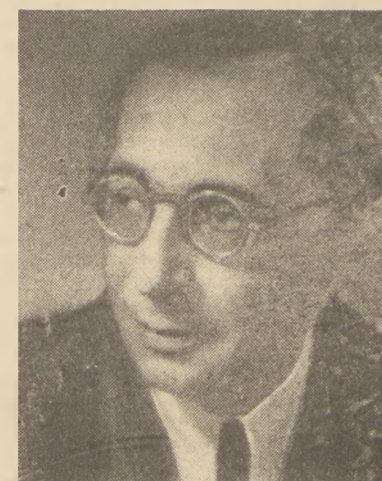
Z radością witamy też wyróżnienie nacechowanej kunsztem artystycznym i pełnej czaru opowieści **Mariana Brandysa** o dzieciach koreańskich pt. „Dom odzyskanego dzieciństwa”. Należy zaznaczyć, że obie nagrodzone książki, jak również drugi utwór, którym obdarzył nas w tym roku Marian Brandys — zbiór jego szkiców podróży do Związku Radzieckiego pt. „Wyprawa do Arteku”, należą do tej kategorii dzieł, które spełniają najważniejszy postulat, jaki winniśmy wysuwać pod adresem tzw. literatury młodzieżowej: nie są bynajmniej utworami tylko dla młodocianego czytelnika. Sprawdzianem ich istotnej wartości jest to, że tak jak wszystkie najlepsze utwory dla młodzieży budzą najwyższe wzruszenie również i w dorosłym czytelniku i stanowią trwały wkład w dorobek naszej literatury.

Omawiając na tym miejscu wyłacznie nagrody literackie nie możemy wreszcie — mimo „kompetencyjnej” przynależności do działu nauki — pominąć wyróżnienia najwybitniejszego dzieła, jakie ukazało się w tym roku w dziedzinie historii literatury. Jest nim książka **Stefana Żółkiewskiego** pt. „Spór o Mickiewicza”. Swego czasu omówiliśmy w szeregu artykułów pionierską, nowatorską rolę tej pracy w procesie przedstawiania na nowo twórczości literaturoznawstwa, w procesie kształtowania marksistowskiej wiedzy o naszej literaturze. Przyznanie Stefanowi Żółkiewskiemu nagrody państwowej za książkę o twórczości Mickiewicza jest jeszcze jednym cennym przejawem wagi, jaką przywiązuje Polska Ludowa do rzetelnego, naukowego naświetlenia problemu naszej wielkiej tradycji literackiej, wskazania żywych źródeł inspiracji dla twórczości dzisiejszego i przyszłych pokoleń.

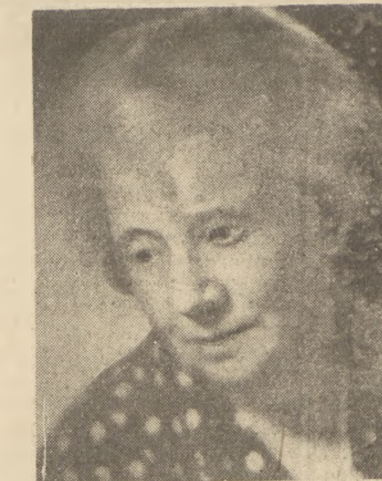
Wnioski, jakie nasuwają się na marginesie tegorocznych nagród państwowych w dziedzinie literatury nie dadzą się ująć w paru zdaniach. Zaznaczając jedynie po krótku nasuwające się w tym wypadku refleksje stwierdzić trzeba, że obok radości jakie budzi wyróżnienie szeregu cennych pozycji w literaturze minionego roku, niepokoić musi — jak już wspomnieliśmy — brak wśród utworów nagrodzonych książek o współczesnej polskiej tematyce, i to zarówno w dziedzinie prozy jak dramatu. Fakt ten stanowi bardzo wyraźny i bardzo zdecydowany wskaźnik dla naszych pisarzy, wytycza kierunek naszych wysiłków, kierunek zasadniczego natarcia w walce o zwycięstwo realizmu socjalistycznego w naszej literaturze.



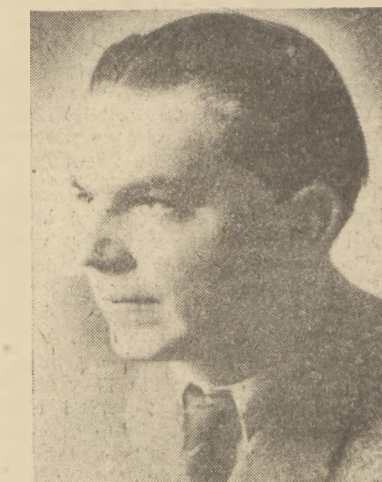
Stefan Żółkiewski



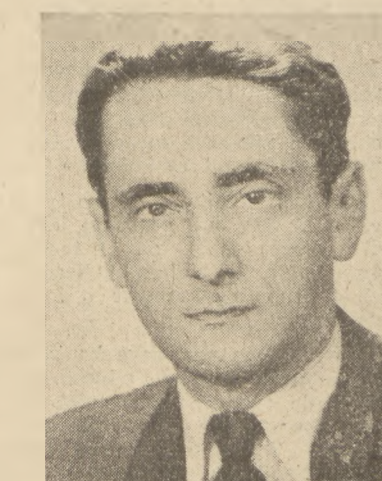
Adam Ważyk



Helena Boblińska



Wojciech Zukrowski



Marian Brandys

Przeszłość i przyszłość

17

lipca br. budowniczowie Traktu Starej Warszawy przekazali stolicy odbudowany wraz z przyległymi doń uliczkami rynek Starego Miasta. 19 lipca br. budowniczowie elektrowni Jaworzno II zakończyli pierwszy etap budowy tego giganta. 20 lipca br. budowniczowie kombinatu metalurgicznego im. Bieruta w Częstochowie oddali do użytku pierwszy wielki piec. A jednocześnie komunikat Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego przyniósł dane o wykonaniu planu w pierwszym półroczu br., dare świadczące o dalszym wzroście naszego przemysłu, budownictwa i środków produkcji.

74 zrekonstruowane kamieniczki przy Rynku, Piwnie i na Zapiecku cieszą oko wspaniałością fasad, oddanych z taką wiernością, pieczołowitością i starannością, jaka cechuje nasz czas, zaś na Starym i Nowym Mieście stoją podciągnięte pod dach nowe budynki o kubaturze ponad milion metrów sześciennych. Nim stanęły — upełniły lata trudnej i żmudnej pracy. Elektrownia Jaworzno II po ostatecznym ukończeniu będzie mogła zasilać w energię elektryczną 85 takich miast jak Kraków, który jest trzecim co do wielkości miastem Polski — wyprodukowana energia elektryczna równa jest mocy 20 tysięcy traktorów i zastąpić może fizyczną pracę ciągłą około 3 milionów ludzi. Pierwszy wielki piec hutny imienia Bieruta, położony na piaszczystym, trzeciej planzyczy, należy do najnowszych w Europie. Po uruchomieniu stalowni, walcowni — zgniataczki, jest to trzeci z obiektów kombinatu. Z komunikatu PKPG dowiedzieliśmy się, że globalna produkcja przemysłu socjalistycznego wg wartości w cenach nie-

zmiennych wzrosła w pierwszym półroczu 1953 r. o około 16 proc. w porównaniu z pierwszym półroczem ub. r. Plan produkcji globalnej przemysłu socjalistycznego został wykonany przez cały przemysł w około 103 proc.

Nie wolno nam traktować tych cyfr w oderwaniu od całości przemian dokonujących się w społeczeństwie. Są one tylko przyczynkiem do historii naszych lat, dobitnie świadczącym o wyzwalaniu się człowieka spod ucisku historii lat dawnych, stając się wskaźnikiem nie tylko wzrostu siły naszego państwa, lecz i świadectwem humanizmu naszego czasu. Skrót myślowy wyrazi ten stan lapidarnie — jesteśmy bliżej socjalizmu, bliżej pełnego wyzwolenia naszego kraju z wiekowego zacofania. Człowiek podporządkowujący sobie siły przyrody zwycięża, mimo iż jego zwycięstwo okupione jest dużym wysiłkiem. Historia naszych dni rozsada lata, czas uzyskuje inne wymiary i proporcje. Podwaliny siły człowieczej czas wzmacnia o ogromie naszego wysiłku, któremu pokolenie budowniczych socjalizmu nadaje realny kształt — jego wyrazem jest Plan Sześcioletni. Niepełna cztery lata temu — 21 lipca 1950 r. — Sejm Rzeczypospolitej uchwałił ustawę o Planie, a dziś jesteśmy świadkami ich budowy i współtworczymy wielu zakładów przemysłowych, oświatowych i znaczących socjalnych i w związku z tym przemian na wsi. Naród, który przyrzeka i dotrzymuje swego słowa, musi budzić szacunek. Historia naszego kraju zna dotychczas piękne porywy i nieziszczące marzenia. Historia naszych dni zna wyłącznie ziszczanie tych marzeń. Kraj bez bezrobocia, w którym dbałość państwa o oświatę, kulturę i stan zdrowotny społeczeństwa przewyż-

sza dbałość państwa kapitalistycznych o zbrojenia, kraj bez ludzi zbędnych, w którym w przeciągu zaledwie czterech lat dwa miliony chłopów z przeludnionych wsi poszło budować przemysł, a ich dzieci poszły na wyższe uczelnie, kraj w którym człowiek pracy otrzymuje odznaczenia państwowe na równi z artystami, zaś artysty stawiają człowieka pracy, ten kraj jest ojczyzną do niedawna wyzyskiwanych. Ludzie, którzy wczoraj nie mieli nic do stracenia prócz karkadaj, dziś do zdobycia mają cały świat. Zdobywają go nie z bronią w ręku, lecz siłą idei, poszanowaniem prac innych narodów, ukochaniem tego wszystkiego, co wartościowe i twórcze w kulturze, tego wszystkiego co głosi równość człowieka wobec człowieka. Sens naszego życia streszcza się w jednym słowie: POKÓJ! W nim tkwi siła, która przemienia świat, przed którą musi ustąpić garstka wyzyskiwaczy.

Gdy po latach będziemy wspominali porywy naszych dni, pełne trudu i nieugiętości, jak dziś je wspominają budowniczowie Dnieprogradu, Uralmaszu, Komsomolska i Kuźniecka, dojrzymy w nich cały romantyzm walki. Nie ma dla nas klęsk, choć są trudności. Nie będzie trudności, gdy w pełni zrozumimy, że celem naszej pracy jest ułatwienie bytu człowiekowi pracy. Słowa socjalizm i nieodmiennie związane z nim — pokój staną się wtedy synonimami naszej Ojczyzny.

Patrząc w przyszłość musimy nieustannie pamiętać o przeszłości, by tym samym widzieć przebieg drogi, a jednocześnie drogę, jaką nas czeka. Świadomość własnej siły, poszanowanie własnego wysiłku, czujność wobec wrogów o to nauki wymieszone z doświadczenia dziewięciu lat Niepodległości.

ADAM WAŻYK

Arytmetyka i styl poetycki

Zebrań Sekcji Poezji poświęcone mojemu przekładowi „Oniegina” znalazło w „Nowej Kulturze” podwójne echo: w krytycznym sprawozdaniu podpisanym Zb. i w artykule Tuwima. Nektóre twierdzenia zawarte w tym artykule zmuszają mnie do odpowiedzi.

Julian Tuwim poświęcił dużo czasu na przestudiowanie mojego przekładu. Sądzę, że trud ten nie pójdzie na marne. Tuwim wyświadczył mi wielką koleżeńską przysługę: przesłał mi swoje uwagi na piśmie, mogłem więc z nich skorzystać przygotowując do druku drugie wydanie przekładu. Tuwim wspomina o tych dwustu mniej więcej uwagach, prawie wszystkie są natury stylistycznej. Słusznych, albo takich, nad którymi można dyskutować, naliczyłem 10 proc. Pokrywają się one z zarzutami wymienionymi w artykule Tuwima. Ale nawet w tym dobranym bukiecie zarzutów znalazło się sporo uwag osobliwych, niezrozumiałych. Bo też co złego może być w tym, że ciotki mrugnęły powiekami, że Duna nalewa z samowara, albo że niedźwiedź wali się za nimi? Tak się przecież mówi o niedźwiedziu.

Z jakiego powodu zarzuca mi Tuwim błędy czy usterki językowe? Takich usterek nie ma w moim przekładzie. Jest natomiast kilka incydentów, zgodnych z tradycją klasycznych poezji. Raz jeden pozwoliłem sobie na licencję gramatyczną, na żartobliwą licencję rytmową w duchu Słowackiego: „Odciać od zwykłych bajd i andron”. Zgodna z gramatyką byłaby forma: „andronów”. Nikt chyba nie będzie brał poważnie twierdzenia Tuwima, że zwrot: „wynano go ze dwóra” — jest błędem językowym. Nie można zwrotów pochodzących z tradycji poetyckiej albo ludowych form przysłówiowych sprowadzać do gramatyki. Ważną jest rzecz — jakich licencji tłumacz „Oniegina” używa, a jakich nie używa. Starałem się przede wszystkim odgrodzić od wszelkich konwencji i licencji młodopolskich, które niestety uchodzą jeszcze dziś za nienagane i „poetyczne” (np. *druch zamiast przyjaciół, ruski zamiast rosyjski, krasa* w znaczeniu urody kobiecej itp.). Użyłem nawet słów i zwrotów, które Młoda Polska przejęła od wielkich romantyków i których nadużyła. Sądję, że przekładając utwór klasyczny literatury obcej, tłumacz może sobie pozwolić tylko na tego typu licencje, jakie spotyka u swoich klasyków narodowych. Rzecz oczywista i pod tym względem tłumacz musi się ograniczyć. To, co przystoi Mickiewiczowi, nie przystoi tłumaczowi „Oniegina”. Ale przystoi znacznie, znacznie więcej, niż sądzi Tuwim.

Wiele jest uwag Tuwima niezrozumiałych, ale niewątpliwie jako typowe i najbardziej rażące wysuwają się uwagi, w których Tuwim kwestionuje klasyczne zwroty polskie np. „W stołowym na stół dano”, „Potok obiega rolne skiby”. Dlatego miał rację Zb., że omawiał tę tendencję jako najważniejszą i oczywiście błędą. Tuwim zna tylko formę „zmierzchało się”. Język polski zna ponadto formę „zmierzchało”. Tuwim uznaje tylko formę „dociec czego”. Język polski zna ponadto formę „dociec co”, która jeszcze kilkadziesiąt lat temu przeważała. Tuwim zna tylko rzeczownik męski „chrap”, język polski zna ponadto rzeczownik żeński „chrapa”. I tak dalej. Rzecz jasna że posługując się jakąś subiektywną miarką Tuwim ogranicza język. Główna, chociaż nie jedyna, tendencja w tej swoistej „filologii” jest oddzielanie „języka współczesnego” od języka XIX wieku, od całości języka narodowego.

Fatalne następstwa takiej koncepcji „języka współczesnego” mogą się nie objawiać w przekładach krótkich utworów lirycznych. W przekładach dłuższych utworów klasycznych, zwłaszcza epickich, taka koncepcja wytwarza styl niezmiernie płaski. Upierając się przy zarzutach, jakoby mój przekład roił się od wykroczeń przeciwko czystości języka, Tuwim w istocie atakuje styl poetycki przekładu. Gdyby zaatakował go jawnie, sprawa byłaby jasna. Wiadomo by było, że toczy się spór o typ przekładu poetyckiego.

Jak się Tuwim odnosi do klasyków, widać z następującego dzwicznego zestawienia.

„Broni się „dzicy”, gdy mowa o wiekach, bo Mickiewicz napisał „Dzicz z krwawymi pazurami”. Ale Mickiewicz użył też zwrotu „Podkomorzemu ucieszył za kolana”.

I co z tego wynika? Wynika tylko tyle, że Tuwim nie odróżnia kategorii gramatycznej od kategorii znaczeniowej. W takich okolicznościach trudno dyskutować o stylu poetyckim.

Przyznająca przewaga konkretnych zarzutów Tuwima odnosi się właśnie do tych momentów stylistycznych przekładu i niestety oburza się Tuwim na autora krytycznej relacji Zb., że na to głównie zwrócił uwagę. Oburzać się można na Zb. za co innego. Za to, że przytaczał najpoprawniejsze zro-

ty zakwestionowane przez Tuwima, nie wyjaśniając, kto ma rację — tłumacz czy krytyk.

W artykule swoim Tuwim „siłuje” je przerzucić ciężar zarzutów na inne kwestie, układa je w sześć grup, ale prawie bez dowodów. Więc przede wszystkim — prozaizmy. O ile zdołałem się zorientować, każde gerundium jest dla Tuwima prozaizmem. Klasycy poezji nieco inaczej na to patrzyli. Pozwól więc sobie zacytować czterowiersz z pięknym gerundium zakwestionowanym przez Tuwim:

A ci, co chętnie mnie słuchali,
Na pierwsze schodząc się czytanie,
Jednych już nie ma, inni — w dali,
Jak rzekł Saadi w Gulistanie,

Dalej Tuwim twierdzi, że w wielu wypadkach z braku wyobraźni wprowadziłem obrazy dziwne, nie logiczne, a nawet groteskowo-śmieszne. W ilu wypadkach? Według rejestru Tuwima — w pięciu. Według mnie — w żadnym wypadku.

Trzecia grupa — to wulgaryzmy językowe. W tej grupie Tuwim ma raptem dziesięć uwag, w tym — siedem bezspornie niesłusznych. Rzyko wulgaryzmu ponoszę tylko w trzech wypadkach. Zawsze jakieś ryzyko trzeba ponieść.

Dalej — „Ważyk w kilkunastu wypadkach wykazuje niedostateczną znajomość języka rosyjskiego”. Okazało się po skrupulatnym zestawieniu, że w czterech wypadkach mylnie zrozumiałem szczegóły tekstu. W innych — mylnie zrozumiał je Tuwim. Twierdzi np. Tuwim, że w oryginale Leński z Onieginem piją szampana, a tymczasem piją Ciquot i Moeta, tak samo, jak w przekładzie. W ogóle z winem nie szczęści się Tuwimowi. Z jego wywodów obyczajowo-językowych dowiedziałem się mianowicie, że w pierwszej połowie XIX wieku nie nalewano wina z flaszek (tylko z butelek) i nie tańczono mazurka. Ale to należy już do grupy piątej: „Licznymi cytatami dowiodłem, że tłumacz nie orientuje się w realiach historycznych, folklorystycznych i obyczajowych”. Ani jednym cytatem niczego podobnego Tuwim nie udowodnił.

Tak wygląda atrytmetyka Tuwima. Na takiej atrytmetyce opierają się wnioski Tuwima o całości mojego przekładu.

Analiza zastosowana przez Tuwima nie jest metodą krytyczną. Krytyk, podobnie jak tłumacz, musi wyciągać z lektury oryginalną ogólną wnioski natury ideologicznej, językowej i stylistycznej. W świetle tego, co ogólne — właściwie można ocenić to, co szczególne. Gdyby Tuwim tak postępował, nie zadawałby naiwnych pytań, dlaczego jakiś wyraz stary znalazł się w przekładzie w tym miejscu, kiedy w oryginale wyrazy stare są w innym miejscu. Nie zawsze można rozpatrywać te szczegóły lokalnie, czasem o użyciu starego wyrazu decyduje rodzima tradycja poetycka.

Nawet kiedy przechodzimy do szczegółów, obowiązuje nas całościowe widzenie strofy, całościowe wżenie zdania, całościowe ujmowanie waloru poetyckiego. W przeciwnym wypadku otwiera się szerokie pole do mistyfikacji, która może być nawet nieświadoma. Wtedy drobne uchybienia przekładu można przedstawić jako grzechy kardynalne, a zalety uznać za wady. Kardynalne grzechy watoowania przekładu obcem Puszkiniowi stylem zarzuca mi Tuwim w grupie szóstej i najważniejszej. Każde brać czytelnikowi na wiarę, bo nie przytacza przykładów. Przykłady słyzałem na zebraniu sekcji. Były to powyrwane strzępki zdań. Oto strofa, z której Tuwim wyrwał aż dwa klaki „waty”. Czytelnik sam osadzi, czy ma ta strofa walor poetycki i czy odpowiada oryginałowi.

Daleko od mych towarzyszy
Odbiegłem... Ona uszła ze mną.
Jak często głos jej w martwej ciszy
Umiał dźwięk, baśń tajemną
Snując od świtu do wieczora!
I po kaukaskich ze mną skalach
W miesięcznych blaskach cwałowała
Na wronim koniu jak Lenora!
Jak często w noce mgły Taurydy
Zadawała, abym za nią szedł!
Na brzeg, gdzie boskiej Neredy
Nie ustający słychnie szept,
Gdzie z głębi płynie fal kantata,
Pochwalny hymn dla stwórcy świata.

Uwagi Tuwima na temat moich „antypuszkizmów” nie poparte ogólnym rozeznaniem stylu „Oniegina”, oderwane od kryterium realizmu, a powiązane z dziwaczną koncepcją poprawności „języka współczesnego” nie mają żadnej siły dowodowej. Tuwim może tylko poręczyć je osobistym przeświadczeniem, ale w takim razie trzeba zażądać, jak Tuwim interpretuje styl „Oniegina”? Odpowiedź znamy od dawna. W interpretacji Tuwima styl „Oniegina” zbiega się w zasadzie z humorystycznym stylem „Jobsiady”.

Walka o typ przekładu poetyckiego toczy się nie od dzisiaj. Tylko po co maskować ją urojoną atrytmetyką, po co wołać o dziesiątkach, setkach, tysiącach, milionach usterek, wypaczeń, przekreśleń, niepo-

rozumień, kiedy nieporozumienie tkwi gdzie indziej. Wzmianki o wierności ideologicznej przekładu oburzają Tuwima, bo przecież sporniewierałem samą istotę poezji. Dam przykład, przykład typowy, z uporem powtarzany przez Tuwima na zebraniu Sekcji i w artykule. Rozdział IV, strofa 12 w dosłownym przekładzie: „I oto już trzaskają mrozy i srebrzą się wśród pól... (czytelnik czeka już rymu: różę; Na masz, bierz go sobie czym prędzej). Czyściej niż modna posadzka Świeci się rzeczka lodem okryta”. O jakich tu różach mowa? Rzecz jasna, o różach ciepłarnianych, bo skądże inne zima, o różach poezji salonowej. I natychmiast Puszkina przeciwstawia salonowym posadzkom wiejską ślizgawkę.

W moim przekładzie:

Już idą trzaskając mrozy
I szronem srebrzą się już pola...
(Na rym ci leżą tuberozy;
A bierz je sobie, jeśli wolisz!)



Rys. A. Perzyk

Jasno i ze znajomością rzeczy wypowiedział się Engels o charakterze dzieła Kopernika. Miał być za czyn rewolucyjny, za rewakację rzucaną „jeszcze nieśmiało i rzec można, dopiero na łóżu śmierci... kościelnemu autorytetowi w sprawach przyrodniczych”. Zauważył, że „odtąd datuje się wywołanie nauk przyrodniczych od teologii”, że „odtąd też rozwój nauk ruszył milowymi krokami”.

Dzieło Kopernika, trzeba to od razu i wyraźnie stwierdzić, jest częścią wspaniałej naszej nauki renesansowej. Wzbudziła ona dążność do zeświecczenia życia i kultury, do krytycznego traktowania rzeczywistości, do operania nauką na doświadczeniach i rozumie. Były to czasy, gdy humaniści zagłębiili się w starożytnych dziełach dla wyzarcowania przed zdumionymi oczyma Polaków innego, niż ich otaczającego, świata, kiedy wokół Kaillama skupiało się doborowe towarzystwo ludzi nauki spośród dworzan królewskich, znakomitszych mieszczan, profesorów akademii, dostojników kościelnych, by snuć rozmowy na historyczne, filozoficzne czy przyrodnicze tematy w nowym renesansowym ujęciu.

Najgłośniejszą w tych czasach była w Krakowie i słusznie po świecie rozgłoszona — matematyka i astronomia. Wydał Kraków tych rozgłoszonych matematyków od połowy XV wieku już dwa pokolenia. Jedno stworzył Marcin Król — i to były owe Jany Polonusy, Mikołaje Wodki z Kwidzina, Jany z Oleśnicy, Marcin Bylice, zapraszani na uniwersyteckie katedry w Padwie, Bolonii, Lipsku czy Pradze. A drugie, bodaj jeszcze głośniejsze, sprawiło, że Kraków stał się w latach osiemdziesiątych XV wieku najważniejszym ośrodkiem tych nauk w Europie. Należeli tu owi: Wojciech z Brudzewa, Jany z Głogowa, Marcin Biemy, biorący się do komentowania Poubarcha i Regiomontana, do wykładów na różnych wszechświeciech, do naprawy juliańskiego kalendarza.

Tu w Krakowie, jeszcze przed rokiem 1495 Kopernik natknął się na sprzecznosci w nauce Ptolemeusza — i odtąd mu one spokoju nie daly. Tu zwrócił w tę naukę, której mu mistrzowie udzielić mogli, stąd wraz z tymi rozbudzonymi wątpliwościami podążając do Włoch na naukę prawa kanonicznego i medycyny myślał o obserwacjach, by widzieć w nich upewnienie czy potwierdzenie swych przemyśleń.

Na tym jednakże nie poprzestał. W miejsce zburzonego poglądu zbudować trzeba było inny, prawdziwy, który by się dał wesprzeć obserwacjami, logicznym przemyśleniem i rachunkiem. Tak astronom i matematyk stawał się równocześnie filozofem. Ale był i wnikliwym filologiem, który dociera do tekstów najrzadszych, by się przekonać, czy myśl ludzka nie snuła się kiedyś torami innymi niż u Ptolemeusza. I to go zawiodło do nowego spojrzenia na zagadkę wszechświata.

W r. 1504 Kopernik był już z powrotem w kraju. W r. 1507 miał

Jaśniej niż sal posadzka gładka
Lśni się rzeczka, gdy zamarznie...

Nie rozumiejąc intencji Puszkina, nie „nikając” w ideologiczny ciąg myśli, Tuwim wytyka mi ciepłarniane tuberozy; z wielkiej życzliwości proponował mi nawet „brzozy” albo „wozy”, byle coś wieściogło! A może coś z ryo? Polajemy to białym winem, oczywiście z butelki, byle nie z flaszki, która ma cztery wieki tradycji polskiej poczynając od fraszki. Przy tak powierchownym i płytkim, tak bezmyślnym odczytywaniu Puszkina wyjdzie to na jedno. Ten przykład reprezentuje sto innych w rejestrze Tuwima. Mówiąc stylem Tuwima — tego rodzaju roztargnienia ideologiczne gromadzą się w tym rejestrze dziesiątkami, setkami, tysiącami, w ilości za — strą — szą — ją — cej... Medice, cura te ipsum! A za kilka pożytecznych uwag jeszcze raz składam podziękowanie.

Adam Ważyk

BRONISŁAW NADOLSKI

Dzieje nauki Kopernika

już w swym umyśle ukształtowaną, choć jeszcze nie pogłębioną i nie popartą licznymi obliczeniami i bogatymi obserwacjami — koncepcję heliocentrycznego systemu. Spisał ją wtedy w zarysie pod nazwą *Commentariolus*. Przyjaciółom najzaufaszszym, Wapowskiemu i innym, zwierzył się ze swych odkryć, ale lękał się tę rzecz ogłosić. Lękał się napisać potwarco, tych co w oparciu o biblię chcieli by go prześladować.

Przebieg w czasie jego pobytu we Włoszech spłonił na stosie Savonarola, a Torquemada palił tysiącami podejrzane książki. Wezwał w Padwie za jego pobytu prześladowano Pomponacjusza za materialistyczne poglądy. Nie było też tolerancji w Polsce. Nie brakło wrogów w Warmii. Nienawidzono go w kołach krzyżackich, na których zanoszł skargi do króla Miał wrogów i wśród bogatych mieszczan, bo przeciw- działał traktatem o mennisicy ich spekulatywnym interesom. Wiele spraw powstrzymało Kopernika od publikacji swoich poglądów.

Mimo to około r. 1530 znalazł naukę jego ludzie najkardziej w tajemniczeni na Warmii i w Krakowie, we Wrocławiu, Wittemberdze i Bazylii. Uczony Wldmanstadt zapoznał z nią w r. 1533 papieża i kardynałów. W r. 1536 interesuje się pracą Kopernika kardynał Szomberg i prosi go o bliższe o niej wiadomości, ale śmierć nie pozwala mu tej ciekawości zaspokoić. W otych odkryciach wittemberskich matematyk, Jerzy Joachim Retyk, który rzuca wykłady, podają na Warmię do Fromborka, by się osobiście z Kopernikiem zapoznać i wejść w arkana jego nauki.

Już wtedy zbiera burza przeciw Kopernikowi, Luter go ma za obłąkanca, który chce przewrócić sztukę astronomiczną. Wrogi mu jest Melancthon. Osiander fałszuje przedmowę do norwimerskiej edycji „De revolutionibus”, i tak ją przekształca, by nauka Kopernika wyszła za hipotezę, nie za dzieło naukowo-dowodzone. Gnapheus, kierownik szkoły w Elblągu, także zwolennik reformacji, że sceny tamtejszego teatru ośmiesza Kopernika za jego „gwiazdziarską” naukę. Słusznie więc powiada Engels, że „protestanci wyprzedzili katolików, jeśli chodzi o prześladowanie wolnego przyrodoznawstwa”.

Niemniej wrogą wobec Kopernika postawę zajęli katolicy. Papież Urban stwierdził, że pomysły Kopernika „mogą zrodzić gorsze teorie, aniżeli nauki Kalwina i Lutra”. Stąd wiodła już droga do inkwizycji, do potępienia nauki Kopernika w 1616 r.

Na chwałę Krakowa trzeba powiedzieć, że kiedy to wrogie odnośzono się do Kopernika ogarnęła cała Europa, kiedy naukę jego wyrzucono z Wittemberga w 1542 r., potępiono w Zurychu w 1559, w Rostoku w 1573, w Heidelbergu w 1583, w Tubingie w 1582 na terenie Krakowa znalazło się grono ludzi skupione wokół Retyki, który tu około r. 1554 zamieszkał, podtrzymując zainteresowanie Krakowian Kopernikiem.

Tymczasem w Europie w obronie nauki Kopernika stawali najpłodniejsi jej propagatorzy. Należał do nich Giordano Bruno, jeden z najznakomitszych przedstawicieli materialistycznej filozofii doby Odrodzenia, ofiara inkwizycji rzymskiej, spalony przez nią w r. 1600. Do zwolenników Kopernika należał Galileusz, co okiem uzbrojonym w lunetę odkrywał zjawiska, do których Kopernik dochodził obliczeniem i logiką swej myśli. Ten jednak obawiał się wydawać swe dzieła, jak pisał do Keplera: „przerażony losem nauczyciela naszego — Kopernika”.

Niknie w Polsce myśl Kopernika na uniwersytetach. W Krakowie wyklada się ją po raz ostatni w r. 1621. Świadomość jednak wielkości tej nauki utrzymuje się do połowy XVII wieku. Z Gdańska od

ODZNACZENIA DLA DZIAŁACZY LITERATURY I SZTUKI

W dniu 20 bm. na uroczystym posiedzeniu Prezydium Rady Kultury i Sztuki odbył się akt dekorowania twórczych pracowników kultury wysołkami odznaczeniami państwowymi, nadanymi przez Radę Państwa z okazji Święta 22 Lipca.

W imieniu Prezydium Rady Kultury i Sztuki Jerzy Andrzejewski powitał przybyłych na uroczystość.

Następnie zabrał głos wiceprzewodniczący Prezydium Rady Kultury i Sztuki — Leon Kruczkowski, który podkreślił, że wysoki odznaczenia, jakim nasze Państwo Ludowe wyróżnia corocznie twórców w dziedzinie kultury narodowej, jest jednym z dowodów wielkiego znaczenia, jakie przywiązuje ono do twórczości kulturalnej, stawiając ją na wysokim szczeblu hierarchii prac ludzkich.

Przemówienie swe zakończył mówca składając odznaczonym gorące życzenia dalszej owocnej działalności twórczej dla dobra naszego narodu, dla chwały naszej Ojczyzny, dla pokoju i przyjaźni między wszystkimi narodami.

Po przemówieniu tym minister Kultury i Sztuki W. Sokorski dokonał aktu dekoracji.

Lista odznaczonych obejmuje następujące nazwiska:
ORDEREM „SZTANDAR PRACY” I KL.: Leopold Staff — poeta.
ORDEREM „SZTANDAR PRACY” II KL.: Władimir Hoffman — plastyk.
KRZYŻEM OFICERSKIM ORDERU ODRODZENIA POLSKI Jan Brzechwa — literat, Edmund Wierciński — reżyser, Józef Karłowicz — aktor, Anna Kowalska — literat, Michał Lenowski — literat.
KRZYŻEM KAWALERSKIM ORDERU ODRODZENIA POLSKI Grazyna Bacwińska — kompozytor, Maria Bilzanka-Bielńska — reżyser, Emil Chaberski — reżyser, Jan Gólis — plastyk, Maria Gorczyńska — aktorka, Tadeusz Gronowski — plastyk, Józef Grzyw — wice-dyrektor Biblioteki Narodowej w War-

szawie, Marlan Meller — dyrektor Państw. Teatru Narodowego w Warszawie, Bim Heller — literat, Bohdan Korzeniowski — reżyser, Witold Lutosławski — kompozytor, Zygmunt Mycielski — kompozytor, Igor Nowy — literat, Jacek Puget — plastyk, Stanisław Pietak — literat, Jan Sokołowski — plastyk, Andrzej Słopa — plastyk, Karol Stryka — dyrygent, Jerzy Szablowski — dyrektor Państw. Zbiorow. Sztuki na Wawelu, Juliusz Studnicki — plastyk, Jerzy Toeplitz — krytyk filmowy, Tadeusz Wroński — skrzypek, Wojciech Zukrowski — literat.

ZŁOTYM KRZYŻEM ZASŁUGI zostali m. in. odznaczeni literaci: Kazimierz Kozłowski, Henryk Markiewicz i Janusz Meissner.

Największe jednak osiągnięcie, przypadające na przełom wieku XIX i XX, wiąże się z osobą Ludwika Birkenmajera, niestrudzonego badacza myśli Kopernika od samych jej początków aż do stworzenia genialnego dzieła droga zmuszonych, długoletnich, wytrwałych i przenikliwych badań najdrobniejszych nawet zapisów po wielkim myślicielu, drogą krytycznego wniesienia w teksty samych dzieł. Niedokończona jego monografia z r. 1900 pt. „Mik i Kopernik, cz. I. Studia nad pracami Kopernika oraz materiały biograficzne” prowadzona dalej i w „Strömata Copernicana” (r. 1924) — to najcenniejsze naukowe dzieła o Koperniku.

W walce o Kopernika do głosu dochoziły i ideologiczne względy. Wobec postępowych księży stojących za Stanisława Augusta Poniatowskiego w obronie Kopernika, takiego więc pijara Wisniewskiego, Arakiewicz, Lisieckiewicz i innych, na pozycję całkiem wstecznej „aja warszawscy księża misjonarze, którzy uchylają się w r. 1830 od uroczystości odsłonięcia pomnika Kopernika w Warszawie i wzbierają się odparwić okolicznościowe nabożeństwo na oczach zgromadzonej już wedle zapowiedzi w kościele św. Krzyża uczestników uroczystości. Tego rodzaju walka ideologiczna toczyła się i w innej formie. Po różnych artykułach i pracach pamięta się różnorodnym ich wrogów stanowisko wobec nauki Kopernika, a zapomina się o nie mniej wrogim wobec niej stanowisku inkwizycji rzymskiej.

Około r. 1870, w latach bojowych wystąpień pozytywistów, trafiają się artykuły zupełnie poprawnie kreślące postawę Kościoła wobec dzieła Kopernika, ale już w latach 90-tych, z nasileniem filozofii „realistycznej i przenikaniem mistycyzmu, pojawiają się artykuły usiłujące łowić zgodności nauki Kopernika z nauką Kościoła.

Do biografii jego przesączają się różne fałszowania, na Kopernika rzuca się wtedy nieledwie jak na świętoszka, choć on bez wyższych święceń i z teologią skłócony, wydobyla się jego podobizny w nabożnej piecy całkiem wedle średniowiecznych wzorów. Zjazyd i uroczystości ku czci Kopernika wykryje się dla szerzenia fideistycznych i solidarystycznych hasel. Tak było w wielkich uroczystościach toruńskich w 1873 r., tak było też w r. 1923, kiedy przeciwstawiając się materialistycznemu światopoglądowi i przenikaniu socjalizmu do życia polskiego usiłował on szczególnie silnie wyudatniać związki Polaki z kapitalistycznymi krajami Zachodu.

Chodziło nie o pokazanie wspaniałych, postępowych zdobyczy epoki Odrodzenia, ani rewolucyjnej nauki Kopernika, ani tego, że Kopernik — jak powiedział Engels — „udzielił dymisji teologii”.

Stanęliśmy u końca naszych „owważań”. Świadomi jesteśmy etapu, na którym wiedznie nas droga do Kopernika. Oto Polska Ludowa, która walczy do najcenniejszych swych skarbow wszystkie najwspanialsze postępowe tradycje, daje nam odczuć jego bliskość i ma szczególne przyczyny szczytnie się nim jako tym, który dokonął przewrotu w nauce, otworzył przed nią nowe horyzonty, założył fundamenty pod narodziny nowoczesnego materializmu.

Bronisław Nadolski

WIKTOR WOROSZYLSKI

Wiersze moskiewskie

OPOWIADANIE AZERBEJDŻANKI DŻACHAN, MATKI STUDENTA AJDYNA

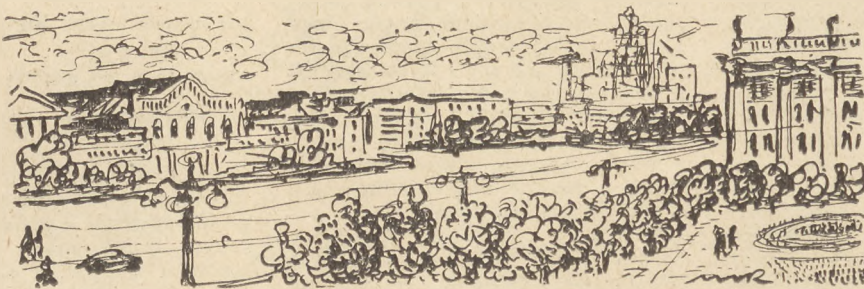
Lat dwanaście młamał — nie więcej,
kiedy z ojców biednego gniazda
według woli Allacha świętej
wziął mnie obcy i żoną nazwał.
Siwobrody był i ponury,
a ja — smutna, lekliwa sarna.
Nad więzienne szczelniejsza mury
otuliła mnie czadra czarna.
Nieprzekupnie, czujnie, niezmiennie
strzegła czadra mroku mej duszy:
nawet rewolucji promienie
nie zdołały niezłomnej skruszyć.
Był to czas, gdy wielkie wołanie
szło przez Kaukaz, zmiatając stare.
Nie słyszałam.

„W nocy z mullami

radził mąż, jak ocalić wiarę

Ile razy zmienił się księżyc? —
Posłuchajcie: weselsza powieść
teraz będzie — jak rwałam więzy,
jak zastona spadała z powiek.
Ach, niezwykły był to poranek,
gdy w sąsiedzkim rozległ się domu
śpiew niewieści. Spozą firanek
przyglądałam się po kryjomu
tym kobietom, tak dziwnie śmiałym,
swą radością bluźniącym bogu.
Osiem razy od drzwi wracałam,
za dziewiątym stanęłam w progu.
„Siostry moje, pragnę być z wami.
Sługą będę na waszej uczcie,
stopy wasze umyję łzami,
tylko mi pomóżcie, pomóżcie!”

„Jak słuchałam mowy uczonej —
ze zmieszaniem, trwogą, podziwem!
Jak weselnym huczało podzwonem
moje serce, przyjaźni chciałem!



BYŁY ŻOŁNIERZ JEGOR PIETROW MÓWI O POLSCE

— Czy ja znam? Ja, który żem ja
jak kobietę tulił do piersi?

Nie na bal szedł człowiek tą ziemią,
nie do blińów gorących śpieszył,
ale pelzył, jak robak, na brzuchu,
klnąc matule r a z w i e d k e...
Jeszcze dziś mowę gnaty, zuchu,
pamiętają grunta mazowieckie.

Twarde były!

Masz, mojej zapal.
Ja machorkę, starym zwyczajem.
„Jeszcze snuł się zgorzeli zapach,
gdysmy rankiem do wsi wracaliśmy,
jeszcze drżały świerki kosmate
od loskotu dział, jeszcze stały
lzy w żrenicach skrzywdzonych matek,
jeszcze dżę z bruku miast nie starły
krwł...”

Lecz trwał nasz marsz bezustanny
bezdrożami, miedzami —
i rzucali nam kwiaty panny,
i prosiły chłopcy: „my z wami”,
i im głębiej — bardziej znajomy
kraj ten stawał się nam i drogi

niemal tak, jak tamten, gdzie domy
nasze strzegły ojczystej drogi
kolchozowej,
gdziesmy wyrośli
pośród wiatrów i pieśni Rosji...

Czy ja znam... Ja, którym wdział
prostujące się grzbiety ludzkie,
tych, okutych od dna powieła,
a rozkutych przez rewolucję,
którym wdział — pośród zwątpienia,
nienawidzi, trwogi, nadziei —
jak się sąd sprawiedliwy spełniał
i jak chłopów ziemia nadzielił
rząd ludowy...

...tą ziemią właśnie,
którą, wroga na zachód pędząc,
we krwi brnąc faszystów i własnej,
wyzwalaliśmy, pędząc na pędzla,
która gońców na każdy biwak
wysyłała: „Jak... u was?”

— „U nas...”

Szliśmy Polską. Już wiosna była.
Dogaśała nad nami luna.

NA DYPLOM ALEKSEGO
LASURII,
POETY ABCHASKIEGO

...A skoro stało się, przeto
zadzwoniły, druhowie, w dzbany!
był chłopak zwykłym poetą,
został — dyplomowanym.

Więc po cóż nam lepszy pretekst
kiedy i ten jest niezły,
aby uczcić poetę
toastem w sprawie poezji.

Poezja — cóż? Łzawa topiel,
ławina świętego ryku?
Nie, Allosza — więcej jej w tobie,
chłopcu z górskiego kraiku,

co ruchem stanowczym z drogi
wadzące odsunął góry,
by pewne skierować kroki
w podwoje literatury.

Poezja... Kto z nas codziennie
nie pyta, czym jest poezja?
Poezja — to takie stworzenie,
co chodzi prosto, nie pelza.

Poezja... Ja myślę, bracia,
że ta, co brzydlę się, boi
prochu, i wzrok odwraca,
gdy rana otwarta boli —

to nie jest prawdziwa poezja.
Poezja, drodzy — to męstwo.
W górę dzbany! Bez długich wezwań
cierpką lecz ciągnijmy i gęstą

za męstwo poezji: za prawdę,
co trudna bywa i przykra,
lecz bez niej — choćby i barwne! —
bezsilne poezji skrzydła.

Więc niechajże porwie bles je —
ladnostki! A my się bijmy
o prawdziwą poezję —
i za nią do dna wypłynij!

4 maja 1956.

ARBATSKAJA

...W pierwszy dzień wiosny, jakby się młody
rozwinął pączek —
znieca pękły szarych rusztowań
ciężkie oponce.
I choć nie pojmięsz, jak przez noc jedną
mogło to stać się —
na świat wyjrzała, drząc z ciekawości,
ARBATSKAJA stacja.

...Mknę dolinami marmurowymi
pociąg-kometa,
a zewsząd światła, a zewsząd blaski
nowego metra.
Na rękach nianlek śledzą poważni
pasażerowie,
śmieją się oczy starych wacaczy,
zawsze surowe.
Zaś w górnej sali, wśród świeżych kwiatów
Arbatskiej stacji
Towarzysz Stałm ojcowskim wzrokiem
ze ślany patrzy.
Prosta i bliska jest twarz Stalina,
niemal jak żywa...
Stajesz i milkniesz razem z innymi —
i myśl nadpływa,

że wówczas w marcu, gdy jego serce
bilo wleż ciszę,
tu młotów swoich nie wypuścił
z rąk towarzysze,
a dźwięk ich pracy był jego serca
donośnym echem... —

I przyszła wiosna, i szumi metro
jego oddechem.

Ilustrował Marek Rudnicki



LIST ZIMOWY Z MOSKWY

Te słowa piszę w Moskwie,
Moskwie pokrytej śniegiem.
Niech słowa staną mostem
do ojczyzny dalekiej.

Niech każde słowo dotrze
do tych, co mi sprzyjają.
Najdrożsi moi! Dobrze
jest w tym serdecznym kraju.

Nie czuję się tu obco,
mam druha niejednego.
(...Te słowa piszę nocą.
Za oknem — bulwar w śniegu.

zaś o krok, z lewej strony,
na placu cichym, pustym
przystanął zamyślony
Aleksander Puszkina...)

Jak tu jest? Chyba o tym
opowiedzieć mi trzeba.
Dużo mądrzej prostoły,
dużo ludzkiego ciepła.

dużo barw, dużo pieśni,
ogrom największej z idej.
Jest droga, którą przeszli.
Jest droga, którą idą.

„Byłem w kraju niejednym,
o niejednym pisałem.
A tutaj czuję: biedne
słowa me są — i małe.

Wybaczcie mi, że jeszcze
nie umiem pięknie, mocniej.
Lecz serce... serce — zmieszczę
w liście, pisanym w Moskwie.

Grudzień 1952

SKĄD DOBROBYT

CZYLI POLEMKA Z PROPAGANDYSTĄ, KTÓRY ODWIEDZIŁ MOSKWĘ

Jeśliś dostrzegł tu tylko pełne półki w sklepie —
dość młerną zdobyłeś wiedzę.
Jeśliś tu tylko pojął — nie już nie pisz lepiej.
Lecz jeśliś dostrzegł i pojął więcej... —
Propagandysto, porzuć konsumpcyjne ody!
Dobrobyty? Tak.

Lecz najpierw
opowiedz o tym:

O tym, jak głodowali,
jak tyfus walił ich z nóg,
jak się nie poddawali
i, padając, wstawali znów,
jak wynędzniali, obdartym
marzył się świat bez krat,
więc przed sytem wojskiem Antanty
bronili Republiki Rad,
jak płotun krzewił się w polu,
pustoszała obora i chlew,
jak więcej było uporu
niż zwykłej maki na chleb,
jak nie starczyło węgla,
ni światła, ni tkanin, ni rud,
lecz tylko najsłabszy kwękał
i słuchał, co szepce wróg,
jak paria nie przyrzekała,
że jutro już będzie leż,
a po prostu kazala
na rusztowania wejść,
jak w pustyni bezpłodnej
rosła stalowa moc,
jak pieców hutniczych ogniem
ogrzewali sybirską noc,
jak na święto wzniesionym domem
znów luna trysnęła krwią,
jak w wielkiej wojnie ludowej
bronili dzieła swych rąk,
jak męczarnie nieładzka
umieili bez słowa znieść,
jak ufali dowódcom
w czarne miesiące kłesę,
jak umierali na mrozie,
krusząc palcami lód,

jak w jenieckim obozie
rwali kołczasty drut
i, ranni, o tysiąc wiorst,
z własnego cierpienia drwiąc,
czolgali się nocą na wschód...

Propagandysto, rozdaj
ile masz, dźwięków i barw:
opowiedz, jak nieurodzaj
frontem na Rosję parł,
opowiedz o wsiach bez męczyzn,
opowiedz o zgłiszczach miast —
i wara ci troszkę zmniejszyć,
zakłamać wyrzeczeń czas!
I wara ci nazwać łatwym
trudne, i ludzi, że
komuny owiane płatkami
spadają z cudownych drzew.
I wara ci choćby cząstkę
ukryć wysiłku tych lat
i na dzieje walczące
naciągnąć różowy lak...

A jeśliś zdołasz i zechcesz
dzieje te tak opowiedzieć,
że nawet w oporne serce
ich prawda plomieniem wejdzie —
wtedy mów i o dobrobycie,
coś go widział w radzieckim kraju,
i poznają w tym — nowe życie,
a nie klesze gadki o raj.
I płach tylko gębę wykrzywi,
twoich słów słuchając z ironią,
zaś wszyscy ludzie prawdziwi
uczynią je kielnią i bronią.

JOZEF KELERA

Nad Trembeckim

Największy spośród wielbi-
cieli i krytyków poezji
Trembeckiego — Adam
Mickiewicz — przyznawał
mu „jedno z najwyższych
miejsc w polskim Parna-
sie”. Mickiewicz ogłosił autora „Zo-
fiówki” — z krzywdą zresztą dla
Krasickiego — „największym poetą
okresu Stanisława Augusta”. I nie
jest przypadkiem, że właśnie po-
przez perspektywę Mickiewicza
najpełniej rysuje się miejsce Tre-
mbeckiego w dziejach polskiej litera-
tury, doniosłość jego twórczości w
wielkim procesie wzbogacania ję-
zyka i kultury nowoczesnego naro-
du. Udział Trembeckiego w tym
procesie, związanym najsilniej z
kształtowaniem się burżuazyjnego
polskiego narodu, stanowi bez wąt-
pienia najważniejszą płaszczyznę
prawidłowej interpretacji i oceny
jego twórczości.

O tym założeniu należy pamiętać
czytając Trembeckiego. Czytać go
bowiem musimy na nowo, odsła-
niając żywą treść i ściśle określony
historycznie, aktywny ideologicznie
sens jego świetnych wierszy. Tę
właśnie przecięt żywą treść i histo-
rycznie konkretny sens poezji
Trembeckiego notorycznie zamazy-
wała burżuazyjna historia literatu-
ry. Trembecki — materialista i li-
bertyn był zupełnie niestrawny dla
bogobojnych profesorów, od Tar-
nowskiego i Chrzanowskiego aż po
Borowego. Stał się więc obiektem
najbardziej perfidnych „nauko-
wych” zabiegów. Pomniejszano go
stałe i dezawuowano moralnie, tra-
ktując biografię i poglądy pisarza
ahistorycznie; podkreślano dziwac-
twa życia osobistego, a wszystkie
„ciemniejsze” strony obrazu poety
„ tłumaczono — z budującym mora-
łem — właśnie tym kłującym w o-
czy materialistycznym światopoglą-
dem. Wreszcie, mówiąc słowami
Jana Kotta, wyjąłowiono Trembec-
kiego gruntownie i uczyniono zeń
„sztukmistrza”, który — niestety —
„miał taki niedobry charakter”.

Takiej „koncepcji” interpretacyj-
nej odpowiadała ściśle — na prze-
tętni bliżko półtora wieku —
praktyka edytorska.

„Przez sto lat z góra — pisał Jan
Kott — cenzura ideologiczna dzia-

łała z niezmienną dokładnością.
Wiersze Trembeckiego były syste-
matycznie kastrowane, najmocniej-
szy z jego antyklerykalnych utwo-
rów (Daniel Kalwiński
n a z n i e s i e n i e z a k o n u
j e z u i t o w — przyp.
mój J. Kel.) nie był nigdy ogłoszo-
ny, dwa inne wiersze libertyńskie,
ogłoszone w wydawnictwach spe-
cjalnych, nie dotarły nigdy do szer-
okiego czytelnika. Wyrwano z
wierszy Trembeckiego żądło i rzec-
zywiście stał się on tylko sztukmi-
strzem”.

Jest jasne, że przygotowanie no-
wego, po raz pierwszy pełnego,
krytycznego i odpowiadającego
współczesnemu stanowi wiedzy fi-
lologicznej wydania dzieł Tre-
mbeckiego staroło przed pracowni-
kami historii literatury w Polsce
Ludowej jako jedno z zadań donio-
słych i pilnych.

*

Dwa tomy Pisma wszyst-
kich Stanisława Trembeckiego,
poprzedzone stustronicową rozpra-
wą w „Przedmowie”, wymagają
gruntowniejszego rozpatrzenia. Roz-
patrzenia wymaga, przede wszyst-
kim sama rozprawa Kotta o Tre-
mbeckim. Autor nie tylko dokonał
nad wyraz precyzyjnej, metodologi-
cznie wzorowej i twórczej analizy
poezji Trembeckiego, ale ponadto
znowu pchnął naprzód wiedzę o ca-
łej literaturze okresu. W toku roz-
prawy o Trembeckim nakreślił Kott
poglębiony, uściślony, nowymi ar-
gumentami i faktami poparty zarys
naukowej syntezy okresu — obraz
ideowo politycznej, społecznej i li-
terackiej dynamiki rozwojowej po-
lskiego Oświecenia.

Nie miejsce tutaj na dokładniej-
sze omawianie tych poszczególnych,
ważnych dla historii literatury
uściśleń i nowinek interpretacyj-
nych. Wystarczy wspomnieć, że do-
tyczą one takich problemów, jak
dynamika gatunków literackich w
kolejnych etapach Oświecenia; kie-

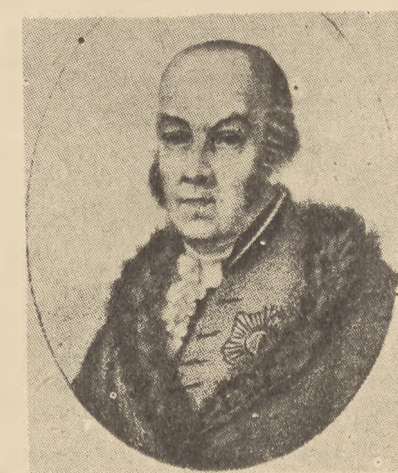
runek rozwojowy języka literackie-
go jak zagadnienie stosunku realiz-
mu i klasycyzmu w literaturze O-
świecenia; określenie różnych nur-
tów ideowych i etapów historycz-
nych libertynizmu. Rozważania o-
gólne Kotta, jeśli nawet niekiedy
mogą być traktowane dyskusyjnie,
prawie zawsze twórczo wytyczają
perspektywę i kierunek badań.
I na tym polega doniosłość rozpra-
wy o Trembeckim w zakresie nau-
kowej syntezy literatury Oświece-
nia.

Rozprawa o Trembeckim, przy
całej naukowej ścisłości, odkry-
wczą i inwencji, posiada pasjonu-
jącą formę literacką. Zewnętrznie
biorąc rozprawa daje się niewątpli-
wie zaliczyć do gatunku tak zwa-
nego „literackiego portretu”. Ale...
jest to „literacki portret” nowej
jakości i zupełnie nowego ga-
tunku.

Wśród burżuazyjnych polonistów
berło mistrza „literackiego portretu”
dzierżył, jak wiadomo, Wacław Bo-
rowy. W jego książce O poezji
polskiej w wieku XVIII
obok wielu innych, rozmaicie kom-
ponowanych, znajduje się także
„portret” Trembeckiego. Przyjrzy-
my mu się przez chwilę i spróbujmy
sobie przy okazji wyjaśnić na czym
polega różnica między „portretem
literackim”, spreparowanym przez
burżuazyjnego krytyka, a „portre-
tem literackim” napisanym przez
marksistę.

Nie trudno spostrzec, że „literac-
ki portret” w realizacji burżuazyj-
nego krytyka jest z reguły mniej
czy więcej naciągana próba psycho-
logicznej konstrukcji „osobowości”
pisarza — konstrukcji rzekomo wy-
dedukowanej z rozbiórki jego utwo-
dów — i, vice versa, psychologi-
czną interpretacją samej twór-
czości w oparciu o skonstruowaną
„osobowość” twórcy. I tak wedle
Borowego poezja Trembeckiego rzą-
dzą dwa „kontrastowe pierwiastki
natury” pisarza, mianowicie „in-

stynkt” bujności natury oraz „in-
stynkt” subtelnej wykwintu i
sztukmistrzostwa. Te dwa „instynk-
ty” łącznie z rozbiorem ich języko-
wej realizacji w poezji stanowią
szkielet „literackiego portretu”, któ-
ry niczego naprawdę nie wyjaśnia.

Stanisław Trembecki
Litografia nieznanego autora.

A teraz prawdziwy literacki por-
tret Trembeckiego. Jest to przede
wszystkim portret człowieka histo-
rycznego, a więc portret historycz-
ny, polityczny, ideologiczny. Kott
pierwszy, nie uciekając się ani do
konstrukcji „osobowości”, ani do
płytkiej aliteracyjnej anegdoty, po-
kazał w Trembeckim prawdziwego,
żywego człowieka na tle żywego
nurtu historii. Wykorzystując prze-
de wszystkim zachowaną korespon-
dencję poety, zdołał Kott wszech-
stronnie oświetlić sytuację społecz-
ną i materialną Trembeckiego, jego
stosunek do króla i związek z kró-
lewskim stronnictwem reformów. Tu-
tą przeprowadził autor rozprawę o
Trembeckim subtelną analizę jego
przekonań politycznych i światopog-
ładowych, wykazując o ile i dla-
czego szły one w parze z tendencja-

mi polityki dworu Stanisława Au-
gusta, o ile i kiedy pokrywały się
lub rozmięły z postępowym społecz-
nym i interesem narodowym.

Z pisarzy kręgu obiadów czwart-
kowych Trembecki był z królem
związany najsilniej i najbardziej
bezpośrednio od króla uzależniony.
Choć pisał „na zamówienie”, nie-
mniej to co pisał było wyrazem je-
go głębokich przekonań. Był Tre-
mbecki zdecydowanym zwolennikiem
rządów oświeconego absolutyzmu i
był entuzjastycznym wyznawcą filo-
zofii francuskich materialistów, wro-
giem fanatyzmu religijnego, nieto-
lerancji i zabobonu. Toteż prawdzi-
wy okres świetności Trembeckiego
poety, przypadający na lata 1773—
1780, wiąże się najsilniej z okresem
ofensywy politycznej królewskiego
stronnictwa ogólniejszej reformy. W
tych właśnie latach powstają dosko-
nałe wiersze polityczne Trembeckie-
go — świetne wierszowane publi-
cystyczne artykuły i odezwy; do tego
okresu należą najmocniejsze i naj-
lepsze wiersze libertyńskie, a także
niezrównane w swym realizmie baj-
ki. Trembecki jako twórca wierszy
politycznych i bojowych utworów
libertyńskich jest w tym czasie w
poważnym stopniu prekursorem li-
teratury następnego okresu polskie-
go Oświecenia.

Załamanie się polityki ogólniejszej
reformy (w związku z upadkiem ko-
deksu Zamojskiego na sejmie 1780)
zapoczątkowuje pogłębiający się re-
gres stronnictwa dworskiego. Do
głosu zaczynają teraz dochodzić na
arenie politycznej nowe siły, kształ-
tujące się szlachecko — mieszczań-
ski blok reformy — wkrótce stronnict-
wo patriotyczne na sejmie czerwo-
niem. Trembecki cofa się ideowo
i politycznie wraz z partią królew-
ską. Schodzi na manowce słowiano-
filstwa, które w koncepcjach poety,
w konkretnej historycznej sytuacji,
posiadało sens bezwzględnie reak-
cyjny.

Inne formy przyjmie też po roku
1780 bojowy przedtem libertynizm

Trembeckiego: „...libertynizm ten —
zacytujmy jeszcze Kotta — stępił
swoje pazury, przestanie uderzać w
ciemnotę i fanatyzm, stanie się po-
chwalą urody i swobody życia: uro-
dy magnackich ogrodów i swobody
magnackich obyczajów.”

Wszystko to zresztą nie znaczy
wcale jakoby po roku 1780 nie pi-
sał już Trembecki doskonałych wier-
szy. Tak np. w r. 1789, w obliczu
zarysowującego się zbliżenia między
partią królewską a stronnictwem pa-
triotycznym na sejmie wielkim, wy-
chodzi spod pióra królewskiego
szambelana najlepszy bodaj z jego
wierszy politycznych — D o m o i c h
w s p ó ł z i o m k ó w .
Sta — pozostaje Trembecki materia-
listą i realistą w widzeniu rzeczy-
wistości. „Zywiłowy materializm
Trembeckiego — pisze Kott — be-
dzie się aż do końca przebiegał przez
dworską tkankę jego wierszy i
kształtował w nich obraz świata”.
Do końca też pozostanie Trembecki
niezłomnym racjonalistą, pełnym
wiary w rozum ludzki i jego nieo-
graniczone możliwości.

Poezji Trembeckiego, jej miejsca
i znaczenia w literaturze narodo-
wej nie podoba odcieni właściwie
wnikliwego rozbiórki strony języko-
wej Ale „rozbiór języka” poezji
rozbiórki nierówny. Burżuazyjni
poloniści także przecięt wynotowy-
wali z Trembeckiego dziesiątkami
wszelkie archaizmy, neologizmy i
prowinializmy w przekonaniu, że
na tym właśnie rzecz polega.

Kott w swej rozprawie nie tylko
wyjaśnił podstawowe problemy je-
zyka Trembeckiego, ale ponadto po-
kazał metodologiczny wzór precyzyj-
nej marksistowskiej analizy języka
poezji. Jest to wzór analizy i nie-
różnorodny od niej prawidłowej
wartościowania określonych form
języka i językowych środków wy-
razu pod kątem widzenia ich ściśle
określonej funkcji ideowej — arty-
stycznej, pod kątem widzenia wła-
ściwego wzbioru narodowej tradycji,
pod kątem widzenia właściwego
nurtu rozwojowego narodowego je-
zyka oraz jego form i struktur li-
terackich. W języku poezji Tre-
mbeckiego (bardzo bliskim zresztą,
jak udowodnił Kott, językowi jego
korespondencji) dostrzegł autor roz-

prawy dwie zasadnicze tendencje. Pierwsza z nich odwoływała się do staropolszczyzny — i to zarówno w „prawdziwych” archaizmach jak i w neologizmach, urabianych na wzór polszczyzny zygmunto-wskiej; druga odwoływała się wprost do żywej mowy mas narodu — głównie szlacheckiego gminu i plebsu miejskiego. Z tych dwóch tendencji na ogół trzecia, bardzo silna, wiązała się w poetyce realizacji z treściami realistycznymi. I właśnie ta druga językowa tendencja okazała się zwycięska w perspektywie historycznej. Ona stanowi w głównej mierze o znaczeniu Trembeckiego w rozwoju języka literatury narodowej.

* Krytyczne wydanie Pisma Wszystkich Trembeckiego wymagało, od strony filologicznej, wyjątkowo dużego nakładu pracy: nad ustaleniem autorstwa i ustaleniem poprawnego tekstu.

Sprawa autorstwa poszczególnych utworów, tradycyjnie przypisywanych Trembeckiemu, była niekiedy tak skomplikowana, że ostatecznie jej rozstrzygnięcie na obecnym etapie badań okazało się w kilkunastu wypadkach niemożliwe. Stąd specjalnie wyodrębniony w tomie drugim dział „Utworów o niepewnym autorstwie”. Wydawca, nie rosząc sobie zresztą pretensji do nieomylności, stwierdza tu jak najślusniej: „Kodeks wierszy Trembeckiego ustalony w obecnym wydaniu jest zamknięciem dotychczasowych i fundamentem przyszłych badań”.

Poważnym osiągnięciem edycji Pisma Wszystkich jest ustalenie (raczej uściślenie przyjętej poprzednio) chronologii wszystkich prawie ważniejszych utworów Trembeckiego. Na dobro wydawcy trzeba także odnotować nowy i trafny układ tekstów w wydaniu. Zrywając radykalnie z tradycyjną koncepcją „żywych gatunków literackich, wywodzącą się z praktyki pseudoklasyków, nie przystającą zupełnie do Trembeckiego, Kott podzielił zasadniczo teksty na dwie kategorie tematyczne — „Wiersze różne” i „Wiersze w materiałach politycznych” (nie licząc wyodrębnionych z natury rzeczy bajek, przekładów i Zofiió w k i), a wewnątrz działów zastosował przejrzysty i instruktywny dla czytelnika układ chronologiczny.

Wreszcie sprawa tak zwanego „naukowego aparatu” i komentarza. Podobnie jak w Wydaniu Narodowym Dziej Mickiewicza „Dodatek krytyczny” podzielony jest i tutaj na „Uwagi o tekstach” i „Objaśnienia wydawcy”. Dział pierwszy przynosi szczegółową dokumentację filologiczną krytyki tekstu. Zupełnie natomiast nowe formy i nowe perspektywy naukowego komentarza prezentuje dział drugi. „Objaśnienia wydawcy” stanowią faktycznie przedłużenie rozprawy w „Przedmowie” — przynoszą cenną ideologiczną i ideowo-artystyczną interpretację ważniejszych utworów, zarysowują tło historyczne; każdy prawie wiersz osadzają w ciekawym, bogatym i obfitym w fakty kontekście obyczajowym, społecznym, politycznym i literackim. W tych „Objaśnieniach” znajdziemy i świetną anegdotę, i współczesną polemikę literacką, i zwięzły zarys historii politycznej, i wyborne informacje o ludziach, i obraz obyczajów, i kronikę literackich wydarzeń, nie mówiąc już o dokładnym na ogół rozszyfrowaniu każdej niemal aktualnej historycznie aluzji tekstu.

* Twórczość Trembeckiego, po raz pierwszy udostępniona współczesnemu czytelnikowi w całości i wzorowo w wydaniu Pisma Wszystkich, posiada dla nas oczywiście znaczenie nie tylko historyczno-literackie. Twórczość jej — z klasyków narodowej poezji jest lekcją, do której nieraz warto wracać i którą trzeba umieć wykorzystywać jak najowoconiej. Lekcja Trembeckiego to lekcia politycznego zaangażowania poezji, jasnej i celnej nieodpartej argumentacji i agitacji; lekcia wielkiej poetyckiej dyscypliny, precyzji i ostrości znanej sobie słowa; lekcia niezrównanej zmysłowej i plastycznej konkretności w realistycznym widzeniu świata. Ta konkretność, zmysłowość, materialność poetyckiego obrazu wiąże się oczywiście nierozdzielnie z kształtem językowym.

Trembecki to wirtuoz polszczyzny. Ale wirtuoz nie znaczy tutaj „sztukmistrz”. Trembecki to poeta zaangażowany w walce politycznej i światopoglądowej i jednocześnie pisarz, który wykorzystując twórczo żywą mowę ludu — mowę narodu — odegrał niezwykle doniosłą rolę w procesie wydoskonalenia i wzbogacenia polszczyzny literackiej, uzbogacenia jej w środki językowe i stylistyczne przydatne do odzwierciedlania rzeczywistości w sposób jak najbardziej realistyczny. Dlatego stał się oświeceniem dla młodego Mickiewicza. I w tym tkwi także — mimo wszystkie załamania Trembeckiego i manowce, po których błądził — głęboki sens niezaprzeczanej postępowości i znaczenia jego poezji w dziejach literatury, w dorobku kultury dziedziczonej przez naród socjalistyczny.

Wydanie Pisma Wszystkich Trembeckiego jest doniosłym wydarzeniem w pracach marksistowskich historyków literatury w Polsce i poważnym osiągnięciem naszego ruchu wydawniczego. Jest naprawdę wielokrotnym zaniedbaniem nauki burżuazyjnej. Jest wreszcie nowym krokiem na drodze upowszechnienia skarbów kultury narodowej w Ludowej Polsce.

Józef Kelera

O trzech zbiorach liryków

Kiedyś mniej więcej półtora roku temu dyskutowaliśmy sprawę liryki, popelnialiśmy szereg niekonsekwencji zarówno politycznych jak i artystycznych. Obrońcy liryki „zaryzykowali” twierdzenie, że poezja liryczna ma prawo istnienia, że spełnia nawet jakąś rolę w naszej literaturze, w oddziaływaniu na współczesność, że wolno wobec tego poetom zajmować się liryką, nie popadając (ba!) w sprzeczność z marksistowską ideologią... Asekurowano się przy tym, że mówiąc o liryce nie myśli się, broni boże, o centralnym nurcie naszej poezji. Nie starczyło poniekąd obroncom liryki mgławic, by przyznać temu gatunkowi literackiemu prawo do uczestnictwa w walnej bitwie o socjalistyczną literaturę.

Olga Bergholz w art. „Rozmowa o liryce”, zamieszczonym niedawno na łamach „Literaturnoj Gazyety”, podkreśla szczególną odpowiedzialność społeczną poezji lirycznej. Dlaczego? Dlatego — wyjaśnia ona — że jeżeli w prozie, w dramacie czy poezji epickiej czytelnik chce śladować bohatera, o tyle w liryce pragnie utożsamić się z podmiotem lirycznym — poetą. Stąd wypływa szczególna siła sugestyjna poezji i etąd jej odpowiedzialność. Prawdziwa poezja działa w ten sposób, że zmusza, przynajmniej zmuszać powinna czytelnika do utożsamienia się z lirycznym bohaterem.

Pragnę omówić trzy tomiki poetyckie. Są to tomiki Wandy Karczewskiej, Artura Międzyrzckiego i Edwarda Fiszer (*), zbiorki o pewnych wspólnych cechach poetyckich, mimo różnice, jakie je dzielą. Łączy je osadzenie w tradycji poetyckiej, choć nie zawsze najlepszej. Mamy w nich do czynienia ze świadomym poszukiwaniem zaplecza w poetyce przeszłości. Wiele pisano już o Różewiczu, Brańnym, wytykano im rozbieżności, rozkładanie materii poetyckiej. Coś pokrewnego mieliśmy także w wierszach Brańnego. Mimo że strofa jego jest bardziej skalona, wiza poetycka jest chaotyczna i poszarpana.

Poszarpana wizja i przekora formalna pierwszych wierszy młodych poetów miała wyrazić bunt przeciw filisterstwu, wszelkiej „stojącej wodzie”. Był to jednak bunt bezsilny. Inaczej startują trzy poeci, których twórczość pragnę w tym artykule omówić. Starają się oni raczej nawiązać do pewnych konwencji, walorów, które wydają im się nieprzemijające. Lecz, jak przekonamy się, skalona strofa u Fiszerzy Międzyrzckiego nie rozwiązuje jeszcze problemu: dziedzictwa w poezji, tym bardziej nie świadczy jeszcze o pełnym realizmie.

✱

Pierwszy tomik poetycki Wandy Karczewskiej, który ukazał się po wojnie, był pamiętnikiem lirycznym człowieka steranego wojennymi przeżyciami, domagającego się spokoju, błagającego o ciszę, Usiłowania przywrócenia spokoju człowiekowi przez poezję pacyfistyczną, przez pacyfistyczną filozofię życiową było oczywiście kłamliwe i bezsilne. Wiersze pisane z tych pozycji spotykamy jeszcze w tomiku następnym pt.: „Złazno kielkujące”.

Oto wiersz pt. „Śpiew opuszczonej dziewczyny”, „niewinny” erotyk, zdawałoby się, że nieporozumieniem jest doszukiwanie się w nim jakiejś kolwiek ideologii. A jednak... Żeby nie uciekać się do zarekomendowanej przez pewnego krytyka metody tłumaczenia poezji na prozę, przytoczę ów wiersz:

Och, że wszystkich dębów, buków
[i] brzoź
spłynęły krople rosy i powstało szmaru-
[i] rądzawo jezioro.
Na to jezioro wysyłał, mity, mą łódź
i ciebie, i moją miłość z tobą.

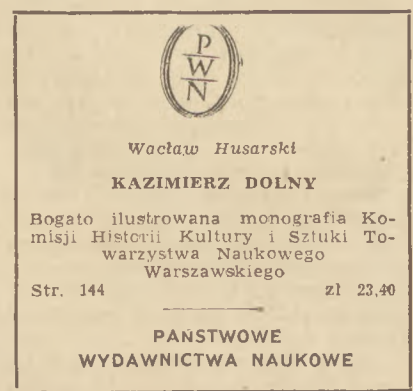
Lecz sama zostanę na brzegu
i, skryta, zobaczę, co z mą miłością
[uczynisz].
Jeśli zabijesz ją zbyt szybkim oddechem,
nie wyjdę, mity, więcej z tobą na brzeg,
jeśli nie zbudzisz jej szybkim oddechem,
nie wyjdę z tobą nigdy na brzeg.

Och, bo wreszcie nie ty, nie ty jesteś
[mym miłym],
lecz ten, którego tu nie ma i nigdy nie
[będzie].

Wszędzie szukam jego oddechu,
lecz oddech jego przeleci już nie
[istnieje],
gdy nie istnieje dla mnie.

Subtelny ton uczuciowy tego wiersza nie jest w stanie skryć, mimo wszystko, niedobrego rodowodu tego rodzaju liryki miłosnej, która

*) Wanda Karczewska, „Złazno kielkujące”, Czytelnik 1952.
Artur Międzyrzcki, „Światło nowej dzielnicy”, Czytelnik 1952.
Edward Fiszer, „Kwatera i przy-
stań”, Czytelnik 1952.



przeciekała do nas jak dziesiąta woda po kieleś z poezji zachodnioeuropejskiej, szokującej motywami egzotyicznymi, poprzez nasz rodzimy modernizm. Subtelności tego wiersza nie obronią go przed zarzutem wyraźnie nadwątłonej postawy humanistycznej. Oderwanie od konkretnych przeżyć — grozi mdłym symbolizmem. Zanika człowiek z krwi i kości, prawdziwa ludzka namiętność.

Kiedyś w rozmowie z poetami warszawskimi Nazim Hikmet zdradził nam tajemnicę arabskiej liryki miłosnej. Arabska poezja miłosna — powiedział Hikmet — wskazuje, jak ideologia stapić się powinna z momentem obrońcom liryki mgławic, by przyznać temu gatunkowi literackiemu prawo do uczestnictwa w walnej bitwie o socjalistyczną literaturę.

Ujawniające się tu akcenty skrajnego subiektywizmu filozoficznego, którym towarzyszy często w wierszach uczucie zagubienia i nierozznania w świecie — przypominają klimat pierwszego tomiku poetyki. Lecz byłoby rzeczą krzywdzącą i niesprawiedliwą twierdzić, że te akcenty są dla rowego tomiku Karczewskiej najbardziej istotne. Istotna jest natomiast próba wyjścia z zaczerpniętego kregu symbolizmu, próba zbudowania innego świata wewnętrznego drogą kontrolowania własnej postawy i porównywania jej z doświadczeniem innych ludzi. Lecz i tu występuje nieporozumienie, nie wywołując się z tej trochę kapitulancji postawy inteligenta, jakoby służenie nowym celom, nowej klasie społecznej wiązać się musiało z jakąś bezlitosną samocenzurą poetycką, z jakimś ograniczeniem własnego świata wzruszeń.

Wiersz pt. „Narodziny Afrodyte”, będący swoistym programem poetyckim Karczewskiej, zaczyna się właśnie od takiej samocenzury. Poetka zdaje sobie sprawę, że trzeba w sobie coś zmienić, ażeby móc przemawiać do innych ludzi. Są w tym wierszu strofy, w których poetka zdobywa się na bardziej jasny, pewniejszą ręką kreślony program poetycki:

„Nie tylko w kropki rosy, w kwiecie,
w zapachu ziemi, w locie ważek,
W spotkaniu saren u potoku
I w śnie żołnierza, w dniu przed bitwą
będę, by ze mnie czerpał spokój,
kiedy do domu wrócł mój.

I w tym uśmiechu robotnicy,
który kochanka twarz rozjaśnia,
każąc mu wyżej nosić głowę
i myśleć mądrzej, kochać prościej”.

Ale nie wiem dlaczego powraca w poście natrętny obraz bezrękiej Afrodyte. Cała koncepcja wiersza, ukazanie tragicznej, okaleczającej piękności wynika ze charakterystycznej już skłonności do artystycznej wywyższenia. Ta postawa w różny sposób przejawiała się u różnych poetów. Pamiętam naiwny fragment ciekawego p. matu, w którym poeta obiecuje sobie, że w kwiecie, o płasku ani mru-mru dopoty, dopoki nie zbudujemy socjalizmu. Tymczasem przyszli robotnicy, zbudowali Mariensztat, zaszczepili nowe drzewa, nie gardzą ni płaskiem ni kwieciem, nie ograniczają poetów i ludzie naprawdę lepiej się czują obcując z dobrą poezją. Wydaje się, że w tym gorliwym samoparciu się poetów było coś wręcz nierobotniczego, nie było rzeczywiście solidarności z człowiekiem pracy. Karczewska osiąga dużą prostotę w tych wierszach, w których zdobywa się na prawdę mowy poetyckiej, w których mniej polemizuje, mniej zwalcza siebie, a przewartościowuje swe osobiste przeżycia, nawiązuje do wspomnień dzieciństwa, do najbliższego środowiska, do ojca — mo'vów powtarzających się w tym tomiku i w innych wierszach drukowanych w prasie. Jest rzeczą cenną, że drogę do samowiedzy klasowej, do świadomości klasowej, drogę do odnowienia więzi z zagubionym środowiskiem odzyskuje przez liryczne nawiązanie do dzieciństwa, do własnego świata, z którego się wywodzi. W ten sposób uzyskuje największą szczerzość poetycką i wzruszającą prawdę przeżycia, np. w wierszu „Do ojca”.

W swoich najlepszych wierszach Karczewska skąpo operuje w zasadzie realiami, mniejszy w nich natłok wrażeń i spostrzeżeń. Decyduje w tym wypadku świadomy wybór, celność ideowa i artystyczna, z jaką szereguje rzeczy zapamiętane lub widziane. Gorzej jest natomiast, gdy wiersze uginają się pod balastem mało znaczących słów i metafor, jak w wierszu bez tytułu, zacinającym się od słów „O spiekoto styczniona”. Wiersz wydaje mi się wymyślony, sztuczny. „Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen...“ A tu nas poetka zasypuje kłami winogron, nie ma w tym wierszu nic z polskiego krajobrazu, naszego klimatu. Poetyckość zawsze jest wrogiem poezji. Karczewska musi wystrzegać się tej namiaski poezji, by nie zafalszować tego, co w jej poezji jest najbardziej ujmujące i cenne.

✱

Artur Międzyrzcki nie jest nowicjuszem w naszej poezji. Czytelniko-

ARNOLD SŁUCKI

wi znany jest jego poemat z życia i walki górników polskich we Francji pt. „Szyby Auchel”. Na emigracji Międzyrzcki wydał tomik wierszy pt. „Strofy przydrożne”. Po powrocie do kraju — zbiór pt. „Światło nowej dzielnicy”.

W nowym zbiorze autor zachował niektóre wczesne wiersze. Trudnością paryskiego debiutu poetyckiego Artura Międzyrzckiego była poetyckość, egzotyka. Lecz nie tylko z tej egzotyki wywodzi się pierwsze wiersze poety. Widoczny jest w nich także wpływ poezji międzywojennej.

Wstępny wiersz „Podróż” grzeszy jeszcze wtórnością, ale warto o nim wspomnieć. Żeby móc go porównać z następnymi, późniejszymi wierszami. Oto jego fragment:

Ciepłych romańskich miast, pachnących
[jabłkami i winem,
Pamiętam lepką brzość i zmierzchu
[zieloną godzinę.

I ziemię — tak dobrze jak tych, którzy
[polegli na niej —
Skaliste brzegi Apulii i pagórki Toskanii.

Pamiętam też wielbłądy ciągnące u stóp
[piramid
I babilońskie ogrody królowej Semiramis,

I dumny Memfis gruz, i kraj odczysty
[Hafisa,
I niebo nad Getsemani, złożone na
[cyprysach.

Wracam, gdy tylko zechcę, w pustynny
[szlak greckich legii,
W księgozbiór klinowych gwoździ i w
[asyryjskie cegły.

Zakończenie tego wiersza brzmi:
I później, w żółtym hotelu albo na
[głuchej stacji,
Nie umiem sobie przypomnieć szumu
[dławnę akacji;

Akacji, co przed podróżą, u okien jakże
[huliskich
Szumiała wiatrem i była prosta jak
[kraj odczysty.
Paryż 1947.

Przypominam sobie inny wiersz — pieśń ułożoną również w dalekim kraju — jest znana piosenka Palestyna o Ocie... Pieśń tę do dziś śpiewają żołnierze. Teśnota do kraju uczyniła w pieśni komunisty kraj bliższym, a Wisłę jeszcze serdeczniejszą. Cóż przeszkadzało poecie o tak dużej wrażliwości osobistej jak Międzyrzcki, który, gdy tylko zechce, może zanurzyć się w pustynną panoramę greckich legii, w księgozbiór klinowych gwoździ i asyryjskie cegły, przypomnieć sobie lepiej szum akacji ojczyzny? Warto ten wiersz zanotować, nie po to, by przypiąć poecie łatkę, nie dlatego, by mu wytknąć: patrz, jak kłedyś pisał, a raczej po to, żeby zrozumieć, ile jest żywotności w postawie poetyckiej, ideologicznej, w talencie poety, który z tej postawy mógł się wyzwolić w następnych swych wierszach.

A przyszło to poecie niałato. „Ważny taki utwór jak „Wiersz”. Poeta zastanawia się nad tym „Jaki wiersz być powinien” i odpowiada, że:

„Nie flet przytknięty do ust,
Lecz raczej z ziemią i winem
Ciężkie rogi bawola.

Poeta chciał wyrazić pogląd, że prawdziwa poezja zróżniła jest z życiem, z krajem. Tej szlachetnej myśli przeczy jednak stosowane przez poetę obrazowanie. Coś jest w tym wierszu z postawy polskiego impresjonizmu. Polski impresjonista jest to taki człowiek, który patrzy na polski krajobraz, a myśli francuskimi kolorami... Polski impresjonista jest to taki człowiek, który powołuje się na to, że np. w Związku Radzieckim bardzo cenią Cezanne'a, i myśli, że jego też będą cenili, gdyż zapożyczył się u Cezanne'a. Zapomniał przy tym, że Cezanne żył we Francji, gdzie chłopci zamiast kartofli często hodują winogrona.

Nie zmienia postaci rzeczy paryska data pod wierszem, gdy mowa o wierszu polskim. To nie jest owy Francji, lecz wiersz, w którym poeta mówi o swojej postawie poetyckiej w ogóle, to credo poety. Odrzucając wszystkie akcesoria malarzkie napotykały w tym wierszu coś cennego, nowego. Jest to obraz pracy, uświadomienie sobie jej wartości, choć zakłęknięte jeszcze w kształt ewangeliczny. Jest to może pomost do przyszłych wierszy Międzyrzckiego o ludziach pracy, o polskich górnikach we Francji, wreszcie do pięknego wiersza o Nowej Hucie.

Już wczesny wiersz pt. „Koleś 1948” zapowiada, że narasta w twórczości Międzyrzckiego coraz większa samowiedza, coraz większa teśnota do kraju. Ta teśnota oczyszcza poetę od „meandrow”, od egzotyki, która zaciążyła na jego pierwszych wierszach. Nie od rzeczy będzie także zanotować, że zarówno w pierwszym okresie swych wysiłków poetyckich jak i w drugim poeta interesował się twórczością Broniewskiego. Wypada odróżnić dwa okresy interesowania się przezeń twórczością najwybitniejszego naszego poety. W pierwszym okresie Międzyrzcki znajduje się pod dużym wpływem lirycznych wierszy Broniewskiego pisanych w Jerozolimie. W Paryżu pojawia się nowy akcent w stosunku młodego poety do ulubionego mistrza, akcent bardziej twórczy, który każe mu nawiązać do najsłabszych, rewolucyjnej poezji Broniewskiego. W tym okresie bojowa intonacja rewolucyjnego wiersza Broniewskiego krzyżuje się jeszcze z obrazami oraz fantastyką poetycką zaczerpniętą

z Apollinaire'a. Jest jeszcze mieszanka stylów. Charakterystyczny pod tym względem jest wiersz pod tytułem „Nad krzyżami Verdun”.

Różne wyloty krzyżowały się w strofie Międzyrzckiego, ale coraz wyraźniej poeta znajduje drogę do własnego poetyckiego wyrazu. Bardziej klarowny jest wiersz pt. „Połegłym w ostatnim dniu wojny”. Bardziej oszczędny w obrazowaniu, logiczny, prosty, Artystowska maniera powraca jeszcze tu i ówdzie, gdy poeta rozważa wprost zagadnienia sztuki, jak w wierszu pt. „Muzeum” (garnki Picassa). Znow „gardła wysmukłych amfor” oraz inne akcesoria zaczerpnięte z rzeźbiarskiego atelier kładą się w poprzek drogi rozwojowej poety. Lecz jakże wstrząsający jest wiersz pt. „Daleko”, ostatni z paryskiego cyklu, w którym poeta sercem jest już w kraju. Jakże daleka od pseudopatriotycznej bufonady i jakże wzruszająco prawdziwa jest дума młodego poety ze swej odrodzonej ojczyzny ludowej, kiedy „uczony paryski profesor mówi o perspektywach naszego kraju”. Młodzieńczy wiersz osobisty poety w sposób głęboko wzruszający wyraża nie tylko tęsknotę najlepszej młodzieży na emigracji do kraju szkolowanego przez emigracyjnych kółkowych publicystów, wyraża także słuszną dumę i zrozumienie jego nowych rewolucyjnych perspektyw.

Pierwszy wiersz warszawskiego cyklu nosi tytuł „Łato 1950”. Prostym, serdecznym wierszem. Poeta nie sili się na wymyślną pointę. A jednak wiersz utrwała się w pamięci:

„Kiedy wjeżdżasz w ten kraj,
Widzisz, jak płomień budowy
Strzela w niebo pogodnie.

Ludzie na ulicach stolicy
Rozmawiają o pracy —
Przyjaćielu serdecznym.

Moje miasto rodzinne
Luną pozdrawia przyjaźnią
Walczących o pokój.

Poeta raduje się każdym obrazem odbudowującej się ojczyzny, notuje to co widzi, co go wzrusza. W pierwszych wierszach tego cyklu wybaczymy jeszcze poecie te „restrykcyjne” okupione prawdziwym przeżyciem ludzkim i artystycznym. Z czasem jednak maniera ta staje się mankamentem tomiku „Światło nowej dzielnicy”. Razi maniera poetycka skłonna świat ujmować statycznie, „po maiarsku”, dwuwymiarowo. Często daje się także odczuć przewagę sztuki poetyckiego nad żywą obserwacją. Przykładem są dystychy nadmorskie — coś w rodzaju reportażu poetyckiego. Nie można z punktu widzenia rzemiosła poetyckiego nie tym dystychem zarzucić, ale należy im wytknąć dystans, oddzielający poetę od ludzi, których chce opisać. Jest jakaś sprawozdawczość w tych wierszach, sprawozdawczość niewątpliwie poetycka, ale, wydaje mi się, że jest to poezja nienajwyższego rzędu, że obiektywizm poetycki nie jest właściwą drogą. Kiedy poeta widzi „niebo z wybrzeżem, cumy, ściany i maszyty”, kiedy pokazuje ludzi pracy, kiedy pokazuje krajobraz — mamy tu wierne notowanie szczegółów — są sieci, maszty, ale te narzędzia pracy odrzucają się od człowieka, tkwią jak gwoździe w krajobrazie, wymykają się z ludzkich rąk. Brak pełnego gospodarskiego stosunku do krajobrazu i dlatego może pointa tego wiersza zapewnijająca, że poeta odczuwa świat w sposób ciepły, bliiski, jest niezupełnie przekonująca. Poetka musi posiadać wartości poznawcze, musi uczyć poznawać życie i świat. W ostatecznym swoim rezultacie utwór poetycki uczy. coś nam mówi o prawdziwym, obiektywnym świecie, lecz nie ma to nic wspólnego z tak zwanym obiektywizmem, z obiektywistycznym dystansem wobec świata.

Kiedy odrzućmy obiektywizm, nie chodzi nam bynajmniej o wąski subiektywizm. Trzeba, by zaawansowany człowiek, przedmiot lub zdarzenie stały się w wierszu nieodłączne od przeżycia poetyckiego, żeby poznanie świata, obiektywnych zdarzeń, przeszło przez filtr osobistego przeżycia, by czytelnik mógł w rezultacie zidentyfikować się z poetą, z jego przeżyciami, by poezja stała się jego własnością. Międzyrzcki, poeta wrażliwy, o ciekawej wyobraźni i dużej żarliwości ideowej, ma nieodzowne dane, by dać czytelnikom prawdziwe i rzetelne wiersze.

✱

Trzeci z kolei tomik poetycki, który pragnę omówić, to „Kwatera i przystań” Edwarda Fiszer. W okresie naszych pierwszych deklaracyjnych wierszy, poezje Fiszer wyrażające bezpośrednio z obserwacji, z obcowania i współżycia z konkretnymi ludźmi — pracownikami portu, marynarzami, dokerami, rybakami — były jakby świeżym powietrzem. Jeśli nasza krytyka — i nie tylko krytyka — zanotowała w sposób ciepły ten tomik, miała w tym dużą rację.

Gdy czytamy tomik Fiszer, nasuwa się pytanie: co to jest regionalizm w poezji? Zastanawiamy się, jakie warunki musi spełnić poezja, chcąc ukazać konkretny obszar naszej ziemi, konkretne osiągnięcia ludzi, żeby móc się włączyć do ogólnego nurtu poetyckiego i osiągnąć pełnię realizmu.

Słabością tomiku Fiszer jest, moim zdaniem, cykliczność. Ma się wrażenie, że poeta postawił napis sześć wierszy o ludziach morza i tematyce morskiej. Podzielił zdanie Antoniego Słonimskiego, że rzadko można wierzyć poecie, gdy mówi: „Napisać tomik wierszy”. Łatwiej natomiast uwierzyć poecie, który pisze wiersze, i to wtedy, kiedy jest zainspirowany, kiedy go coś zaatakuje. Nie chciałbym kwestionować szczerości wierszy Edwarda Fiszer, mam jednak nieodparte wrażenie, że wierszom tym cykliczność nie wychodzi na dobre. Stąd ich nierówność. Jedne są bardziej przekonujące, inne pełnią rolę ozdoby poetyckiego wiążącego jeden wiersz z drugim.

Zatrzymam się na jednym wierszu, który warto zanalizować. Jest to wiersz pt. „Przejazdem w Uście”. Wydaje się, że to wiersz przełomowy w twórczości Fiszer. Słabą jej stroną jest konflikt między bohaterem lirycznym a tym, co poeta chciał powiedzieć o innych ludziach. W pierwszej połowie wiersza, kiedy występuje bohater liryczny i bezpośrednio mówi o sobie, mamy coś z cyganerii poetyckiej. Poeta, który przybywa do Ustki, nie wie, gdzie będzie mieszkał. To się zdarza, zwłaszcza pisarzom jeżdżącym na wycieczki autorskie. Ale tu nie o dowcip chodzi. Bohater liryczny nie bardzo w tym wierszu komponuje się z tymi ludźmi, którzy w ciągu nocy w niezwykłym tempie wypuścili taśmowicę. Jest u Fiszer pewność rysunku poetyckiego, strofy poetyckiej i pod tym względem należy może do najdojrzalszych poetów, którzy startowali z nim razem. Wydaje się jednak dla Fiszer koniec większe opanowanie wizji poetyckiej, większa kontrola ideologiczna.

Niedomaganiem pierwszej części tomiku Fiszer poświęconej morzu jest ułamkowość widzenia świata, to, że poeta nie zawsze potrafi uogólniać obserwacje terenowe, lokalne. Stąd pewna dekoracyjność wierszy morskich. Za najlepsze utwory tomiku uważam takie wiersze jak „Kwatera przed wybuchem”, „Do starego towarzysza”, „Telegram z Gdańska”, „Pamięci Władysława Seweryna”, „Jurij Gromow” — wiersze z „Notatnika żołnierskiego”. W wierszach takich jak Jurij Gromow poeta osiąga dużą prostotę, dużą oszczędność frazy poetyckiej. Przyjaźń polsko - radziecką ukazują Fiszer nie poprz - ogólniki, gołosłowne postulowanie, lecz przez rzeczywistą przyjaźń między żywymi ludźmi, którzy razem przeżyli trudny okres wojny:

Gdzie teraz bywa Jurij?
Szczery druh z lat ognistych...
Czy pamięta kompanów
Itwających sieci faszysty?

Jurij Gromow — bolszewik —
Sokół skutu żelazem
Błł skrzydłami o kraty
— Bijmy, zachęcał, razem.
— — — — —
— Nie wierzycie Sowietom? —
Ale bądźcie przytomni,
O Gromowa — żołnierza —
Pulk mój wnet się upomni.

Czuwał w noc bezgwiezdno
Jurij, chłopak z Rybńska,
Wreszcie zbudził mnie własną:
Wstawaj! Burza berlińska!

Chciałoby się zacytować do końca ten wiersz, ujmujący swym dużym ładunkiem lirycznym przy zastosowaniu mowy potocznej, w sposób naturalny, niewymuszony. Nie za dużo mamy takich wierszy w naszej młodej poezji, prostotą swą, jak ten wiersz, przypominających najlepsze liryki poety radzieckiego, Aleksandra Twardowskiego. Do najbardziej udanych wierszy Fiszer zaliczam także utwór poświęcony „Pamięci Władysława Seweryna”, nauczyciela Polski Ludowej, zamordowanego przez bandę faszystowską. Dużą prostotą i komunikatywnością łączy poeta w tym wierszu z artystyczną celnością i ideową żarliwością. Elegijny ton stapia się z boją intonacją tego wiersza, który przez to wywołuje silne wrażenie.

Trudniej mi natomiast się zgodzić z wielkością wierszy zawartych w ostatnim cyklu — w „Balladach dziewczęcych”. Najlepsze może jest wiersz pod tytułem „Przedza” przez odpowiednie wyzyskanie motywu ludowego. W wierszu tym przegadują się rzeczywiste losy ludzi rozłączonych przez wojnę. Mniej udane są wiersze „Kujawiak” i „Anna” w których dźwięczą akcenty łatwego optymizmu, echa nienajlepszej pieśni żołnierskiej.

Nie chodzi mi bynajmniej o przekreślenie lub zdewaluowanie nurtu pięknego w poezji Fiszer. Chodzi o większą dyscyplinę ideową i artystyczną, o prawdziwą odpowiedzialność za słowo, zwłaszcza kiedy poeta z charakteru swojej twórczości predysponowany jest do tego, by przemówić do szerszych warstw społeczeństwa.

Omówione tomiki poetyckie zasłużyły na to, ażeby je w naszej rozwijającej się poezji powojennej zapożycować. Są w nich wiersze zapowiadające prawdziwą poezję, wiersze, które nie kłamią. A to już jest krok do realizmu socjalistycznego.

Arnold Słucki

WŁADYSŁAW MACHEJEK S E R C E

Dziwnym był chłopcem Łukasz. Chodzący smutek... Na przykład jadąc w ojcowym domu chleb z masłem, boczek lub kiebasą — wędlina u Marców nie należała do rzadkości, zbierał się na nią żywot dwóch świń rocznie — neruchomiał z dnia przy ustach; jedzenie utykało w gardle. Rodzina pożywała się zawsze razem przy stole. Matka, ojciec, dwie siostry już dobrze podrosłe, zdane do roboty w polu, na łące i w lesie, i on — Łukasz. Ojciec drobiazgowo, uważając, aby najmniejszy ułamek jego trudu i płonów nie poszedł na marno, z biegiem lat stawał się podobiały. Na oko. Bo bić syna już nie mógł. Tylko żona, dobrodusza Franka, orientowała się szybko co dzieje się w głębi jego duszy. Dawniej, kiedy mały Łukasz wydłubywał koniuszkiem palca skwarki ze wspólnej miski tłuczonych ziemniaków przy śniadaniu, gromadząc je na skrajach stołu — oczekiwał się rychłego uderzenia ojcową łyżką w policzek. Bo ktoś to widział wyrzucać skwarki z ziemniaków? Lekceważenie! Świętokradstwo! Ktoś to widział zdejmować zaproszone lekko w lodowatej piwnicy kożuch ze śmieci? To przecież lekceważenie trudu matki i siostr, które doją, zlewają mleko w garnki, dopilnowują prawidłowego zsiadania się. Wybiłaj! Marzec te kaprysy ręką, łyżką, łokciem w zęby, kopnięciem pod stołem... Nic jednak nie pomogło.

Po latach, po latach — melancholijnie zawieszona w powietrzu łyżka chłopaka oznaczała dla świątecznego szybko ojca zawsze tę samą pogardę dla darów bożych, które zebrała jego gospodarność. Ale jakże bić draba? Odda wet za wet! Łukasz, mimo łagodności, dziecięcej niemal niewinności w pojęciu z otoczeniem, miał w sobie ogień, który nie wiadomo kiedy wybuchnie i poparzy. Szanujący rodziców i ich wolę chłopak chwilami stawał się niebezpieczny. W spokojnej, jasnej powłoce czaił się istny diabeł.

W tym przekonaniu utwierdzał Łukasza ojciec w czasie wojny, chyba w 1943 roku. Wiadomo, co to były za czasy. Śmierć trafiała częściej do młodych niż do starych. Ludzie zachowawczy uciekali myślami do Boga, by zejść na ziemię dopiero wtedy, gdy jakimś cudem sytuacja się zmieni. Marzec tak się przyzwyczaił do takich ucieczek, że więcej go przerażała ludzka walka z niewolą niż bandyci siejący terror. Niepokoił go Łukasz, chłopak z kielkującym już coraz gęściej wąsem, który bynajmniej nie zamierzał podążać śladami westchnień ojcowskich — przeciwnie, czytał tajne gazetki, przysłuchiwał się z uznaniem złożeńiom na Hitlera, sam zniknął gdzieś na całe noce i wracał rankami zroszony i brudny, a co najgorsze: kłócił się z Bogiem. Zaniedbał się w pacierzu i uczęszczaniu do kościoła.

Cierpiał, cierpiał Marzec, aż wreszcie musiał zająć stanowisko, choćby pośrednie. Stało się: to któregoś dnia podczas śniadania. Stół u najmniejszych rodzin chłopskich uległ w tych czasach pewnemu upiększeniu. Nie zmienio się może jado — tak samo głównym rannym pożywieniem było gotowane mleko nalewane w garnuszki i chleb z masłem lub serem — ale teraz „na smak” gospodini stawiła przed każdym talerz zalewkę lub barszcz z ziemniakami, podczas gdy dawniej jedzono te potrawy ze wspólnej misy. Nie podejrzewano, że niewinne podkreślenie tuśkiej zamożności ci dążyło duszę Łukasza. Wokół dosyć białą się dychawicze cienie biedaków wiejskich. Z przedmieść Lublina — jak z getta głodu — wymykali się ludzie z wyciągniętymi rękami.

Tego dnia, jak zwykle stary przeznaczał się i pierwszy zanurzył łyżkę w gęstym od ok żurze. Chłপি়়়় zerknął szparaczką jednego oka na syna, który przybiegłszy od obrządku koni i umywszy ręce, bez zastanowienia zajął się jedzeniem. Ojciec odchylił tułów. Wywnął przy tym łyżką, jakby przypomniał sobie niedawną swobodę w wychowywaniu Łukasza.

— Co to za człowiek, co nie mówi pacierza ani nie przeznacza się, tylko rzuca się jak świnia do żarcia. Jak też mu w gardle nie stanie...

Łukasz uniósł głowę, w pośpiechu poknął gorąc: plyn i hamując się, wyrzucił z siebie:

— A wam nie stanie w gardle? W tym odezwanie było coś więcej niż próba odprowadzenia przytłoku. Wyczuwało się w tonie kpinkę z ojcowskiej moralności, sprzeciw. Marzec wolał jednak zrozumieć replikę Łukasza dosłownie:

— Ja mówięm pacierz...
— A ja nie! — syn wpił się kuczowo palcami w koszulę na piersiach, jakby uciśniętą jakąś wielką raną, a nie mogąc zdławić bólu, w okamgnieniu ścisnął w rękach talerz z parującym jeszcze żurem i walał nim w sam środek stołu. Fajans rozleciał się w kawałeczki, żur chlusnął wokół, przyskając we wszystkie strony. Marcówny z przeziębionym piskiem zerwały się od stołu. Marcowa ścisnęła łyżkę w ustach, broniąc się przed płaczem, ojciec wycierał rekawem marynarki poparzone czoło i patrzył oślepiałym wzrokiem na Łukasza. Przemówił dopiero po kilku minutach — głosem słabym, niczym po chorobie. Możliwe, że próbował odwrócić kierunek sporu.

— No i co, skłesisz teraz fajans? — Skłębie wy! — uragownie odrzekł Łukasz. — Bez serca jesteście, bez serca! — nagle wykrztusił, nieświadomy, usta mu zadrgały. Wyobraził sobie, że ludzie z sercem jasno by pojęli, o co mu chodzi. Razem z nim p-testowaliby przeciwko okropnemu paleniu świata... Razem z nim marzyłby o chlebie z masłem dla wszystkich... A starsi rowadziłby młodszych po omacku szukających wyjścia z potworności. Czuli się t. obcy i samotni.

Marzec długo tolerował niesprawiedliwy stosunek do siebie. Wszystkie dawniejsze występkę syna przypisywał wpływom okolicznych komunistów i peperowców. Ale przekreślał ojcowskie serce — to już zwyrodnienie. Wstał więc i oznajmił kategorycznie, po sędziowsku:

— I ja tego talerza nie skłębie. Ale jak mi się coś takiego jeszcze raz zdarzy, to nie przepuszczę...

Ostatnie trzy słowa wypowiedział przeciągle i sycząco, znać, że przybijało mu pewność i odwagę.

— Ja ci dam radę. Jakem cię zrobił, to i radę ci dam. Wtedy będę bez serca.

— Nie będę czekał — zbuntował się ostatecznie Łukasz i wyszedł z izby.

W lesie ćwiczyli gwardziści, ale Łukaszowi pozwolono być tylko szeregowcem Związku Walki Młodych. Gwardziści odbywali ćwiczenia z karabinami — ZWM-owcy musieli pomalować sobie broń z drzewa. Według tych różnic rosła świadomość jednych i drugich. Proch bitew przyspieszał dojrzewanie ludzi młodych. Łukasz rozumiał, że należy skończyć z drewnianymi zabawkami i za wszelką cenę wziąć czynny udział w dalszym ciągu epopei stalingradzkiej tu, na tyłach wroga. Walka powinna jednak rozstrzygać się również w sercach ludzkich, by zdruzgotać bez reszty ludzi-sobów, ludzi ojcętych na nędzę i niesprawiedliwych. Łukasz wymagał więc od bojowników rewolucji nadzwyczajnej dobroci, rozważ, nieomyślności. Był marzycielem bez praktyki życiowej, podzielił świat na ludzi złych i bohaterów aniołów. Na łajdaków gotowych zarówno do podłości, jak i tchórzostwa („dlatego muszą przegrać”) i bohaterów o wzniosłych uczuciach i nieprzeciętnych zaletach. Takie serca — to najczulsza dla niego rodzina.

Już w pierwszych dniach pobytu w oddziale GL im. Jędrzeja Borskiego — był on jednym z kilkunastu działających na Lubelszczyźnie — Łukasz rozczarował się do wielu chłopaków. Wyobraził ich sobie jako chodzące ideały. A tymczasem niebezpieczeństwa walki wyzwały nie tylko koleżeństwo, poczucie solidarności, ale też często — zamiast czułości — nieuzasadnioną, krzywdzącą podejrliwość, kierującą się przeciwko przenikaniu reakcyjnych „wtyczek”.

Łukasz spotkał w lesie znajomego z sąsiedniej wsi, Janka Lubnia-

ka, który chwalił się, że cały majątek jego rodziny można pomieścić w jednym worku. Chłubił się swą nędzą jako cnotą. Przeświadczenie o wyjątkowej czystości klasowej — sądził — upoważniało go do pomawiania o nieczyste zamiary każdego, kto nie był „z krwi i kości” proletariuszem. Swych poglądów nie bronił tylko przed kosokomendantem „Bagnetem” i jego zastępcą, rozważnym „Jurkiem”. Raz czy dwa zdążyli go na zapalczywej dyskusji z kolegami o tym, że „jak psu...” wierzyć takim, co mają pole albo jako majątek; w obliczu dowodów stanął na baczność i milczał, tak więc samą postawę uznano za wystarczającą samokrytykę. „Bagnet” zapytał tylko:

— Co on gada?

— Wot, bresz... — odpowiedział tonem lekceważącym wysoki Dymitr, partyzant spod Charkowa.

Po odejściu dowodów — było to w rzadziutkim lasku pokreconych chojaków na m. rnej, piaszczystej ziemi koło Białej Podlaskiej — Lubniak rozlał się, nieszczęśliwy, i od żalu przeszedł do zacepk:

— Bo co to kto wie, jak się ży-

je... Mój ojciec sprzedawał mię-

wo winy kulałom do pasienia bydła.

Na zme wyganiali mę z powrotem

do ojca, żebym ich nie obzari. Wie-

to co taki, ilcm ja się wyterał...

choćby ten... — wskazał palcem na

Łukasza. — Najmowali do roboty

ludzi, nie wiem to?... I nie kulacy

oni?

Łukasz, nieraz już napastowany,

przywyczał się w końcu do do-

domności; odwrót do ojcowskiego do-

mu nie widział — więc i teraz

zgryzłby w sobie gorycz, gdyby nie

bolesne dla niego milczenie towa-

rzysz. Rozjątrzone, nie przypuszc-

zał, że to milczenie nie aprobowo-

ł napaści Lubniaka, a jedynie odda-

wało sprawiedliwość jego naprawdę

ciężkiej młodości. Odpowiedział

więc trochę drwiąco:

— Wiesz... — zanie się na lu-

dzia, nie ma co.

Za ubliżające uważał wyjaśnianie

rzeczywistej sytuacji w swoim do-

mu. Wreszt Marca na pewno nie

można było zaliczyć do kulaków;

cóż, przynajmniej w czasie robót

żniwnych dwie pary rak — i tyle.

Przeciwie, on sam, gdyby był za-

rozumiały, powinienby żądać a-

znania dla siebie za to, że uciekł od

ojca. Nie można nie cenić takiej re-

zygnacji z własnego dostatku. Z ja-

kim on trudem doszedł do ośw-

adzenia: „Idę z wami!” Gromiąc nie-

sprawiedliwość uderzył także w

sobkostwo swojego rodzinnego ojca.

Czy to takie łatwe? — Łukasz jed-

nak był zaprzeczeniem zarozumia-

łstwa, pragnął się legitymować tyl-

ko serdecznym współzyciem i wz-

orową s-izbą w partyzancie. Chciał

niejak podkreślić, że nawet najgor-

szy może zacząć życie od nowa.

Przedzierał się na przykład re-

jonem Włodawskiego, gdzie rozlo-

żyły się błota poroście mchem. Cięż-

ko się szło. Erkaemista stękał pod

brzemieniem broni — już sam chód

wymagał wysiłku. Łukasz wyręczał

towarzysza, zrymając się na podzię-

kowanie. Kiedy indziej wracał i

tłamsił ognisko źle ugaszone przez

kucharza w pośpiechu odmarszu. Na

postojach reperował kolegę obuw-

ie. W skwarne dni lipca 1944, gdy

coraz częściej drogi do wsi i stud-

ni barykadowały po zęby uzbrojone

wataty SS-mańskie i „własowskie”,

wyszukiwał w lesie polanki uro-

dzajne w poziomie, które przymie-

nie chłodziły wysuszone podniebie-

nie. Ostrzegali także — bynajmniej

nie w chęci dokuczania — przed

nadużywaniem alkoholu. Iluż kole-

gów z tego powodu zginęło nadare-

mnie.

Słowem — s-arał się być jak naj-

lepszy, zbliżał się do ideału i zys-

kiwał gorących przyjaciół. Nato-

miast swym zachowaniem potęgował

złość w Lubniaku. Nie można po-

wiedzieć, że Lubniak nie odznaczał

się zaletami, ale jednocześnie zło-

śliwościami przyciągał do siebie

wszystkich najgorzyszych — takich,

którzy cudze cnoty traktowali jako

niebezpieczeństwo dla siebie. Lub-

niak przypiecał „kulackie” łatki

przy byle okazji.

Nieprzejaźnie plotły się Łukasz-

owi miesiace walki w poszukiwaniu

serca ludzkiego. Zdobywał się na-

wet na pretensje do Jurka, jako of-

ficera politycznego, że do gruntu

nie wychował podwładnych żołnie-

rzy. Nawet wyzwoleń nie rozra-

dowało go tak jak innych — nie

docekał się dekretu, który by na-

tychmiast zmienił wszystko na do-

bre i najlepsze. Potęgował się żal

do ojca, postanowił nie wracać do

rodziny wsi bez rzeczywistych

rozstrzygnięć. Manifest PKWN ry-

sował jednak pierwsze zęby spraw-

wiedliwości. „Teraz przychodzą

czasy ludzi z sercem” — powtarzał

sobie w duchu i zaciskał pięści.

No cóż, zgłosił się do służby w

milicji. Dymitr wstąpił do Armii Ra-

dzieckiej. Jurek został powołany do

Komendy MO.

Łukasz wyjechał do Kraśnika. Nie-

daleko, w Hrubieszowie, wyznaczo-

no funkcję Lubniakowi, który dalej

kopał dolki pod towarzyszem wspóln-

ych walk. Na kierowniczym stano-

wisku, jakie zajmował Łukasz,



rys. A. Perzyk

możliwość pomagania ludziom u-

sokajala; a jednak każde wrogie

słowo sprawiało ból jak cień za

skórą.

Oderwał się od własnej krzywdy

i spojrzal na świat szerzej podczas

skromnej uroczystości pierwszego

dekorowania odznaczaniami zasłu-

zonych działaczy, bojowców i żołnie-

rzy, w Lublinie. Jurek wezwał tak-

że Łukasza.

Łukasz uchodził nie tylko za

wzór człowieka, ale także za boha-

tera. W dziesiątkach bitew party-

zanckich zawsze widziało go się na

przodzie. Ale na order zasłużył za

wyratowanie oddziału od kul za-

sadzki NSZ-owskiej bandy „Czarne-

go” w lasach janowskich. Poszli

wtedy nocą na zwiad i zostali złapa-

ni na skraju nieznanej mu wsi. W

rowie zaciła się banda by przyjąć

peperowców ogniem. Łukasz ochło-

nał dopiero gdy uwolniono go od

knebla i zaczęto wypytywać o

siłę maszerującego oddziału „Ba-

gneta”. Wówczas przybrał pozę nie-

winiątka i odpowiadał szeptem na

ciuchlike pytania. Myśl zaś szalała

z trwogi. „Zlikwiduj towarzyszy,

zlikwiduj, jeśli jakoś nie dam

znaku o niebezpieczeństwie. Cóż ja,

cóż moje życie? Nawet do partii je-

stem za młody”. Ostrzeż zaś mógł

tylko — jeden sposób — sprokwo-

wać strzał. Jak? Jedynie przez

swoją ucieczkę, w czasie której u-

godzą z tyłu kule. Na moment

ściępnął, że za chwilę przestanie żyć...

Rzeczywiście rozległy się ogu-

sające wystrzały. Łukasz potknął

się, jakby o jakiś olbrzymi róg, i

jednocześnie uderzony w lewe ramię

i szyję, zapadł się w czerwoną prze-

padę. Gdy odyśkał przytomność, le-

żał obandażowany na czystej po-

ścieli w chłop kiel chacie i zob-

aczył nad sobą kose, na wpół mart-

wy oczy „Bagneta”. — Uratowa-

ł nas — usłyszał, skłonił głowę. Mó-

wić nie mógł.

Teraz dostał od Jurka wezwanie.

Doznał szczególnego pociechy, dowie-

działwszy się, że Lubniak także bę-

dzie odznaczony — za tępienie reak-

cyjnych band i dywersji. Ten chłop-

ak o sekątm charakterze prostszą

drogą dokopywał się do obszarzco-

kulackiego spisku, gdy wolność za-

przeżyła frazesom o walce niepod-

ległościowej tułochów. Gonili ich

dnem i nocą z mienawistym zawo-

łaniem: „Nie wy nas, ale my was!

Mamy prawo”. Byli i tacy, którzy

deklarowali się za „ludowoladztwem”,

ale bez kierownictwa PPR. Na płyt-

kiej wodzie pływali. Tym Lubniak

grzebił nad sobą kose, na wpół mart-

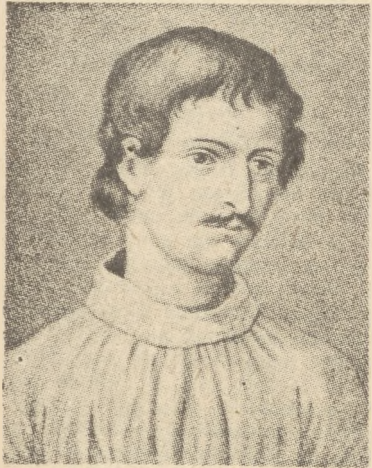
wy oczy „Bagneta”. — Uratowa-

ł nas — usłyszał, skłonił głowę. Mó-

wić nie mógł.

LESŁAW BARTELSKI

Przed trybunałem inkwizycji



Giordano Bruno

„Jeżeli jednak niektórzy żyjący w późniejszych latach nie są bardziej przenikliwi, aniżeli urodzeni w dawnych wiekach, i jeżeli wielu z tych, którzy żyją obecnie, nie rozumie więcej aniżeli szerożytni, nie wynika z tego, że nie żyli w tamtych dobrych latach, ale z tego, że żyją jak trupy w swych czasach”.

Giordano Bruno
„Uczta Popielcowa”

Przez sześć dni z rzędu molił się czcigodny Zuan Mocenigo, szlachcic wenecki, nad sformulowaniem zarzutów, które by swą trafnością mogły przywieść zamieszkalego w jego domu w charakterze gościa i nauczyciela Giordana Bruno, literata i filozofa, przed sąd Inkwizycji. Mścił się za zawiedzione nadzieje, jak tylko potrafił człowiek niekierujący, bez charakteru, gdy przekona się, że nie osiągnął zamierzonego celu. Szlachcic oczekiwał, iż Giordano Bruno odkryje mu swe tajemnice, dzięki którym uzyskał znaczenie w Europie jako myśliciela zapraszany na rozmowy z królami, tymczasem filozof uczył go z całą powagą fizyki, wskazywał na konieczność ćwiczenia pamięci, opowiadał o ruchach gwiazd i planet, wysmiewał tępych polityków i głupich mnichów. Po dwóch donosach Mocenigo przyszedł przed Inkwizytora zeznał pod przysięgą, że pisał wyłącznie prawdę. „Zawsze myślałem o tym, aby go wydać Świętemu Oficjum” — przyznawał ze skrupulatnością donosiela w dniu 25 maja 1592 r. Upomniano go, by dobrze wyteżył pamięć i przypomniał sobie wszystko o czym mówił kiedykolwiek Giordano Bruno. Zaś pan Matteo z Avantio, kapitan przy Radzie dziesięciu, udał się nocą z żołnierzami do domu szlachcica, gdzie na stryszkę przebywał, siłą tam zaprowadzony przez domowników Mocenigo, wielki filozof, żołnierz zbudził śpiącego i powlekł go do więzienia.

Gdy Giordano Bruno stanął przed Świętym Trybunałem, oskarżyciele

GIORDANO BRUNO PRZED TRYBUNAŁEM INKWIZYCJI

AKTA PROCESU

Przełożył z włoskiego

Wacław Zawadzki

Str. 168

„KSIĄŻKA I WIEDZA”

i sędziowie doskonale wiedzieli, ko go mają przed sobą. Donos Mocenigo nie zaskoczył ich, od dawna inkwizytorzy czyhali, aby Giordano Bruno mógł wpasć w ich ręce. Ten człowiek z Nola, który przed laty opuścił klasztor Dominikanów w Neapolu, podważał swoimi pismami zasady wiary, burzył autorytet kościoła i podawał w wątpliwość twierdzenia kleru. Zamiast głosić, jak przystało na „psa Pana”^{*)}, naukę Tomasza z Akwinu, ośmielał się nie tylko przebywać w towarzystwie heretyków, ale co więcej — mieć ich za przyjaciół i wspólnie z nimi wysmiewać głupotę księży. Bił swoimi pismami we wszelką religię, nie uznając zasad Rzymu czy nauk Lutra za naukowy pogląd widzenia świata. Mistrzami mu byli Lukretiusz, Erazm z Rotterdamu, Rabelais i Kopernik, ich sładami szedł, ich myśli rozwijał w tym wszystkim co pisał i publikował. „Kochany przez ludzi mądrych, sławiony, szanowany, uwielbiany przez uczonych — mówił o sobie w przedmowie do dialogu „O przyczynie, początku i jedności” w roku 1584 — zniechęcony jestem przez głupców, pogardzony przez ludzi podłych, szkalowany przez lajdaków, potępiany przez oszustów, prześladowany przez plemię bestialskie”. Latami wędrował po Europie po swej ucieczce z klasztoru, przechodził zmienne koleje losu, był zapraszany przez możnych i odrzucany, budził zachwyt i nie nawiść, gdyż śmiało głosił swe prawdy. Znała go Francja i Szwajcaria, Anglia i Niemcy, bawił w Pradze Czeskiej nim dotarł do wolnej Republiki Weneckiej, gdzie stanął w końcu przed Trybunałem. Nie miał złudzeń co do charakteru rozprawy, liczył jednak, że Weneccja jest na tyle wolna jako państwo, iż nie wyda go Pzymowi. Wydanie takie równałoby się śmierci, więc filozof bronił się przed sądem z całą godnością człowieka niewinnego, który mimo wszystko doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co czeka go w wypadku przegranej. Bronił nie tylko siebie, bronił swej nauki, a broniąc oskarżał, jak wielu to uczyniło przed nim, jak wielu to uczyniło po nim. Patrycjusz weneccy i księża, wśród których znajdował się nuncjusz papieski, ujrzeli szczupłego, niepozornego człowieka w wieku lat ponad 40, z krótką ciemną brodką. Wykazywał duże wykształcenie i oczytanie, żywość umysłu świetnego dyalektyka i nie dawał poznać po sobie, że jest takim zrzędzeniem losu zaskoczony. „Wielokrotnie grożono mi, że zostanę przyprowadzony przed Święte Oficjum. Uważałem to za żart, gdyż zawsze jestem gotów zdać sprawę ze swego życia” — powiedział na pierwszym przesłuchaniu w dniu 29 maja 1592 r. Następnie mówił o swym pochodzeniu i miłości, nie tając niczego, jakby pragnął wytłumaczyć sędziom, dlaczego właśnie tak a nie inaczej kształtowała się linia jego życia.

„Urodziłem się, o ile mogłem się od swoich dowiedzieć, w 1548 roku. Do czternastego roku życia przebywałem w Neapolu, ucząc się tam nauk humanistycznych, logiki i dialektyki...” Skończywszy czternaste

rze della Minerva, pod zwierzchnictwem mistrza Sisto de Luca, prokuratora mego zakonu. Udałem się tam, ponieważ w Neapolu wytoczono mi dwa procesy...”

Te pierwsze starcia doprowadziły w konsekwencji do tego, że zrzuciwszy habit Giordano Bruno udał się w wędrowkę po Europie. Sądził, że na Północy odnajdzie inne stosunki aniżeli te, od których uciekał. W świeżej pamięci miał fakty świadczące o bezdennej głupocie i zachłanności mnichów, którzy np. w Genui pokazywali przez krótką chwilę wiernym z pokrowca wyjęty „ogon osła i krzyżceli przy tym pełnym głosem, że jest to święta relikwia błogosławionego osła, zaszczyconego tym, iż „niósł Pana Naszego na Górze Oliwnej w Jerozolimie”. „Uwielbiajcie go, całujcie go i dawajcie jałmużnę” — nalegali zakonnicy i dodawali: „Stokrotnie będzie wam to zwrócone i zyskacie sobie życie wieczne”. Giordano Bruno drwił z tych i im podobnych rzeczy, uznając przy tym jedynie autorytet rozumu, naraził się Rzymowi, który czekał okazji, by go osiągnąć. Przypadek sprawił, że człowiekiem świadczącym przeciw filozofowi z czysto osobistych pobudek okazał się szlachcic wenecki, Mocenigo — akta zeznań i procesu powtarzają wielokrotnie nazwiska donosiela i sędziów, zamiast by pokryć mrokiem niepamięci. Odstaniając system terroru i intolerancji pokazywał jednak ludzi, którzy z tym walczyli, jak i tych, którzy te metody wspierali.

Tego dnia, w którym po raz pierwszy przesłuchiwało Giordana Bruno, Mocenigo dostarczył trzeci z donosów. Wyteżywszy swą pamięć, jak mu przykazał Inkwizytor, Mocenigo podawał dalsze zarzuty, świadczące o tym, iż naprawdę napracował się nad ich sformułowanie. Dotyczyły one filozoficznych poglądów Giordana Bruno. „Mówił mi o ciemnocie naszych czasów... i że panoszy się straszliwa ignorancja, jakiej świat nigdy dotąd nie widział”. Tej ciemnocie przeciwstawił się Giordano Bruno w swych pismach. Obraz świata, jaki przekazywał w „De revolutionibus” Kopernik, wymagał dostosowania pojęć filozoficznych, tego właśnie zadania podjął się Bruno. Przejęty do głębi odkryciem kopernikańskim oraz naukami Bernardina Telesio z Cosenzy pod Neapolem, który zmarł na cztery lata przed uwięzieniem Giordana Bruno, pisał: „Jemu” (tj. Kopernikowi) zawdzięczamy oświecenie nas od różnych fałszywych twierdzeń powszechnie panujących w filozofii, jeśli nie powiedzie wręcz, że od ślepoty... Któż może w pełni ocenić i wysłać jego ducha, który... opierał się mocno prądowi przetrwanej wiary...” Zarówno terminy „wulgarna filozofia”, czy „ślepotą” jak i „przeciwna wiara” były synonimami obstrukcyjnej scholastyki.

Obraz świata, jaki pod wpływem nauki Kopernika ukształtował się w umyśle Giordana Bruno, był zaprzeczeniem poglądów ówczesnie panujących. Metafizyce Bruno przeciwstawił nieskończoność, jednorodność i dynamizm świata, uświadamiając sobie, że gwiazdy stałe są tej samej natury co słońce i że granica świata jest koncepcją zupełnie nie do przyjęcia. Tym samym włączył się w spór o nieskończoność świata w czasie i przestrzeni, ciągnący się od początku dziejów filo-

zofii. Wyjaśniając zjawiska przyrody poprzez nią samą Giordano Bruno odrzucał wszelkie poglądy o siłach „nadprzyrodzonych”, w których istnieniu jakoby miała tkwić zagadka wszechświata. Propagując myśl naukową Giordano Bruno zarazem podważał społeczny ustrój średniowiecznych hierarchii stanowych i kościoła. Dlatego też musiał zginąć, jedynym ratunkiem dla niego byłoby odwołanie wszystkich swych twierdzeń. Wolał jednak wybrać śmierć niż zaprzeczyć swych nauk.

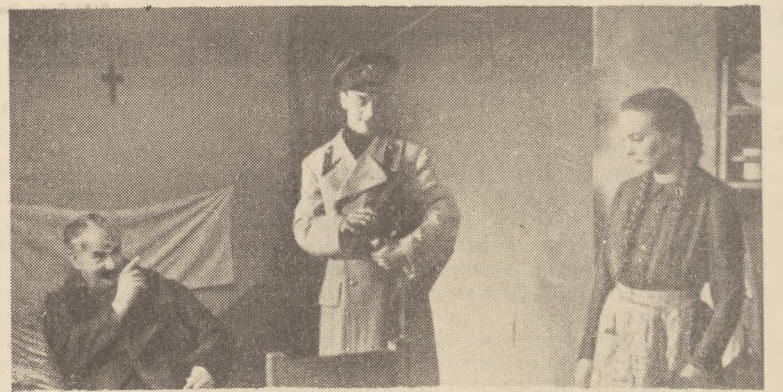
Dokumenty procesu przed sądem inkwizycyjnym w Wenecji są wstrząsającym obrazem zmagania się człowieka z ową „ślepotą”, którą pętnował. Podchwytliwe pytania, zeznania wydobywane torturami nie zdołały złamać hartu Giordana Bruno. Z chwilą gdy papież zagarnął go pod swą władzę, wymusiwszy na Wenecji wydanie byłego mnicha, Giordano Bruno wiedział, co go czeka. Nie mamy aktów, dotyczących siedmiu lat jego pobytu w więzieniu. Z ostatnich chwil jednak, kiedy rzucił w twarz katom swoje słynne słowa, wielokrotnie powtarzane później przez potomnych: „Z większą trwogą ogłaszacie wyrok przeciwko mnie, aniżeli ja go słucham”, poznać, że nie ugiął się przed potęgą Rzymu i głęboko wierzył w prawdę, które głosił. „Dlatego też rozpatrzywszy i rozważywszy w prowadzonym przeciwko tobie procesie własne twoje zeznania dotyczące twych błędów i herezji, twój upór i nieugiętość nazywamy, obwieszczamy, osądzamy i ogłaszamy cię, bracie Giordano Bruno, nieuzasadnionym, zawziętym i zatwardziałym heretykiem...” — brzmiały słowa wyroku. Inkwizytorzy nie mieli odwagi przyjąć na siebie śmierci niewinnego człowieka, dlatego też z całą obłudą, właściwą im, oświadczyli: „Przekazujemy cię Gubernatorowi Miasta Świętego, aby wymierzył ci sprawiedliwość, przy czym usilnie błagamy go, aby zechciał cię ukarać jak tylko można łagodnie, bez przelew krwi”.

W istocie — obyło się bez przelewu krwi. Przeprowadzony z kneblem w ustach na Campo di Fiore, Giordano Bruno został obnażony, przywiązany do słupa i spalony żywcem.

Łatwo jest spalić człowieka, jeszcze łatwiej potępić jego naukę i w ognień cisnąć jego książki, ale niełatwo zatrzeć jest prawdę. Świadczą na jej rzecz będąc pozornie oschle, wyprane z wszelkich ludzkich słów dokumenty, które zamiast oskarżać pod sąd, stanowią akt oskarżenia przeciwko sędziom — historia niejednokrotnie przyznawała rację wyklętym. Zbiór dokumentów „Giordano Bruno przed trybunałem inkwizycji”^{**)} mówi o walce człowieka, dla którego prawda była ważniejsza nad życie. Pisane ręką skryby-notariusza oddają one wymownie zafascynowanie owych czasów, obłudę i okrucieństwo watykańskich inkwizytorów niżby nie jeden artysta to uczynił.

Lesław Bartelski

*) „Giordano Bruno przed trybunałem inkwizycji” Akta procesu. Przełożył z włoskiego Wacław Zawadzki. Wstęp Andrzeja Nowickiego. Książka i Wiedza. Warszawa 1953, str. 168.



Fot. COPA — A. Kaczkowski
„Sprawiedliwi ludzie”. Akt II Aleksander Zelwerowicz, Wiesław Michnikowski, Danuta Przemycka.

O pewnym debiucie

Echo, jakie w pewnych kołach wywołała prapremiera „Sprawiedliwych ludzi” Brandysa musi się wydawać dziwne. Jest to mimo wszystko może jakaś nieufność do możliwości i talentu jednego z najwybitniejszych współczesnych pisarzy polskich?

Nie.
Jest to nieufność do naszej współczesnej dramaturgii.

✱

Nie wiem kiedy się to mogło stać, na pewno już w każdym razie po premierze „Niemców”, ale ktoś korzystając z naszego gapistwa zakradł się do literackiego warsztatu, wyrwał nam z niego dramaturgię i przeniósł ją do warsztatu bliżej nieokreślonego, położonego gdzieś między kulisami teatru a kolegiami składającymi się z ludzi godnych skądinąd szacunku, ale przeciętnych posiadzeniemi. W tym warsztacie rzemiosło literackie, literacka metoda twórcza stały się narzędziem najwyżej pomocniczym. Głównym zaś instrumentem działania nieznane dotąd działo „teatropisarskie”.

Nie zamierzam, ani się czuję na siłach, potępić w zamęt całą naszą współczesną dramaturgię. Jeżeli jednak mówi się o jej pozytywnych osiągnięciach i o jej wartościach, to najwięcej mówi się o trudnościach, z którymi się boryka. Zdaniem moim, trudności te w wielkiej mierze wywodzą się z nieporozumień, do których doprowadziło dramaturgów urzeczzenie się „specyficzną tajemną wiedzą teatropisarską”. Sądzę, że stać również wywodzić się pewne nieporozumienia między dramaturgami a ludźmi teatru.

Ludzi teatru drażni wyniosła pretensja niektórych dramaturgów do wtajemniczenia, którego nie posiadają. Wtajemniczenia, które w rezultacie staje się mało uzasadnionym roszczeniem do wchodzenia w nie swoje kompetencje.

✱

Istnieje dziś słuszna tendencja do kojarzenia w pary autorów z reżyserami. Oczekuje się, że takie małżeństwa wydadzą wreszcie zdrowe i tegie potomstwo dramaturgii. Wydaje się, że małżeństwo zawarte między Kazimierzem Brandysem a Aleksandrem Bardinim to związek oparty na zdrowych, uczciwych zasadach bezinteresowności i zapachu do sztuki.

Ocenę dawnych wlotów i upadków Bardiniego zostawiam jego przyszłemu biografowi. Od siebie stwierdzę tylko, że mając do czynienia z dobrym literackim materiałem współczesnego dramatu zdo-

łał Bardini rozwinąć w pełni swoje cenne zalety realizatorskie.

Najważniejszym osiągnięciem debiutu scenicznego Brandysa jest to, że nie ma on cech debiutu.

Miedzy „Drewnianym koniem” a cyklem „Miedzy wojnami” leży przepaść. „Drewniany koń” rozgrywa się w okresie międzywojennym, „Sprawiedliwi ludzie” poza tym okresem. „Drewniany koń” jest powieścią, „Sprawiedliwi ludzie” dramatem.

„Drewniany koń” był debiutem pisarza, debiutem tyle interesującym, co budzącym niepokój o drogi jego dalszego rozwoju. „Sprawiedliwi ludzie” to dojrzali utwór autora cyklu „Miedzy wojnami”, mający z tym cyklem głęboki związek ideowy i artystyczny.

Sens debiutu nie zawiera się w przedstawieniu próby odmiennego gatunku literackiego. Powodzenie tego przedsięwzięcia określone jest stopniem ideowej świadomości i artystycznego rozwoju pisarza.

Tajemnica sensacyjnego zdarzenia pt. „Kazimierz Brandys napisał dobrą sztukę” została wyjaśniona: Kazimierz Brandys posługuje się w pisarstwie środkami literackimi (należy wyjaśnić, że ta metoda nie jest jego wynalazkiem). Na długo przed Brandysem posługiwał się nią z powodzeniem Rabelais, Szekspir, Gogol, Tolstoj, Szolochow, i wielu innych.

✱

Sztuka Brandysa jest sztuką historyczną. Trudno jednak byłoby ją podciągnąć pod owe historyczne sztuki uznawane dziś za sposób do uchylenia się przed współczesną tematyką. „Sprawiedliwi ludzie” to studium pogłębiania współczesności, artystyczne objaśnienie genezy niektórych współczesnych zjawisk. Sięgając do przeszłości Brandys nie tylko że nie ucieka przed współczesnością, ale przeciwnie stara się ją mocniej uchwycić.

Jedną z cech wartości utworu literackiego jest to, że „koniec” na ostatniej stronie powieści, że kurtyna po ostatnim akcie dramatu zamyka tylko określony przedmiot ideą fragment ludzkich zdarzeń, nie ograniczając perspektyw ich dalszego rozwoju. Miarą realizmu postaci w utworze literackim jest możliwość przewidzenia ich losów w odmiennych warunkach, możliwość odnalezienia ich wśród najbliższych nam spraw i zdarzeń. „Sprawiedliwi ludzie” nie są nam dalecy. Nie są też z naszą rzeczywistością związane pośrednio czy mocą ideowych analogii. Sztuka Brandysa opowiada o dzieciństwie Sprawiedliwych Ludzi rządzących dziś naszym krajem.

Stanisław Dygat

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI

S t a r ó w k a

Bardzo nędznie wyglądała przed laty Starówka zaludniona rzemieślniczą, i wyrobniczą biedą, w zaduchu i brudzie starych kamieniczek pędząca ciężki żywot ludzi, wyzyskiwanych, a nawiązków do najfatalniejszych warunków zdrowotnych. Sam byłem świadkiem tragicznej sceny, gdy do właściciela staromiejskiej kamieniczki, planującego urządzić w swej posesji kanalizację, wpadła jak huragan jejmość — lokatorka z awanturą: — Podobnie pan gospodarz zamieruje wytręcić mi do mieszkanka prewet! Jeszcze by tego brakowało! Mało że jadzie z podwórka! Przedzję się wyprowadzę, niż pozwolę na takie chrywe we własnym mieszkaniu!

Ustami jejmości przemówiła za starzała tradycja, gdy karmazyny zjeżdżały do Warszawy na sejm rekwirowały dla siebie i orszaku całe domy, pozostawiając po odjeździe kupy gnoju wysoko „na chłopa”.

A wspominki suną poprzecz lata jak film dokumentalny.

Pamiętam z czasów mych sztabackich wagarów po Starówce konny tramwaj skracający z Krakowskiego Przedmieścia na Podwale, by wąskimi przez rykiem bez nazwy pomiędzy ogrodowym parkanem a pałacem Raczynskich (dziś — ulica Kilińskiego) przedostać się na Długą, a stamtąd Świętojerską na Muranów, nie ten dzisiejszy Muranów, ale na dawny, leżący za Nalewkami. Mały jednokrotny wagonik ledwie że się przepychał zaulkiem, a drzewa z za parkanu szorowały mu gałęziami po dachach.

A z sąsiednią Miodową, wówczas jeszcze nie przebitą do Krakowskiego, lecz stanowiącą jakby peryferię Starówki, ileż to wiąże się wspomnień. Tu zostawiłem płac, który z języka, który mi przymarzył do metalowej sztaby wystawowej,

gdym się dziecinnie zagapił na cudą pokazowe firmy Pika „optykamechanika”. Tu w sklepie krawca Jakimowicza, na wprost pałacu Paca (co to „wart pałaca”), zdawszy egzamin do gimnazjum wszedłem po raz pierwszy w życie w długie spodnie i w szynel na wyrost. Czapek zaś uniformową nabyłem mi u Dzieńwopolskiego pod zygmuntofską kolumną, tu gdzie teraz ruchome schody zjeżdżają na trasę W-Z. Wracając na Miodową, a wędrując nią lewą stroną ku Pacowi, nie mogę powstrzymać uśmiechu patrząc w powietrze poziomu ulicy nad wykopem tunelu.

Stała tam głośna niegdyś kamienica bankiera Teppera, a w niej znajdowała się restauracja „pod Gwiazdą”, sąsiadująca swym ogrodem z dużym ogrodem oo. Kapucynów, słynnym w sztabackich sfarach ze wspaniałych włoskich orzechów. Toteż przez murek ogródka „Gwiazdy” przekradaliśmy się na one orzechy, dopóki nas nie spłoszył któryś z braciżków. Gdyby dziś umiejscowić klizę tej sceny, pędziłbym na wysokość kilku pięter, a za mną pater wywijający sznurem swych „ogórków”. I widzę siebie jak w fantastycznym filmie drałującego powietrzem i uśmiecham się do przerażonego sztabaka. Na tejże Miodowej ulicy wagarowałem w innym ogródku, już nie klasztornym a teatralnym. W miejscu, gdzie później stała operetka „Nowości”, a przedtem tingeltangel „Eldorado”, istniał swego czasu z wejściem od Miodowej ogródkowy letni teatr „Alhambra”. Otóż scena jego, mimo że zamieniona na skład narzędzi rol-

nicznych, fascynowała nas szczątkami swych dekoracji i kulis i ona to najprawdopodobniej pierwsza zaraziła mnie bakcyliem teatralnym. A może byłem już dziedzińcem obciążony, gdyż ojciec mój, jak mi się potem przynajmniej — chadzał do „Alhambry” jeszcze jako kawaler na dramaty z Marcella i wodewile z Zimajerką.

Po maturze, już jako student lub mówiąc po warszawsku — odośnie — „akademik”, ciężylem nadal do Starówki. Zamieszkałem zrazu na Podwale i obecnie przechodząc tamtędy (mieszkałem teraz na Freta) widzę się w powietrzu ponad wyłonionym ze ścian rozwalonych kamieniczek starym murem obronnym, jak ślęczę nad kursami, cwi-

czę się w boksie, lub z paczką kolegów wariuję na bibie. Potem zamieszkałymi w kilku na Rybakach, uporczywie a gupio inwigilowani przez „Cohrane”.

Ludność Starówki traktowała studentów żywcem, zwłaszcza wyrostki rzemieślnicze, przekupki i „antyki”. Łączył nas wspólny antagonizm do policyj i szpicłów, no i wspólny młody humor. Jeżeli powstawały czasem między nami jakieś nieporozumienia, to najczęściej na tle spraw, o których nuciła staromiejska piosenka:

Łodziu miła, gdzie ty była, żeś buciła zabójca?
Chodziłam ja do studenta i słuchałam komplimenta,
Uczyłam się czytać, pisać nie przy tym też kłósać.



Franciszek Kostrzewski

Stare Miasto
Drzeworyt z cyklu „Charakterystyka ulic Warszawy”, „Kłosy” 1871.

sprowadzać ludzkie nauki, literatury i sztuki.

W tym okresie, wplątany już na tak zwanej arenie życia w „wiek meski — wiek kłeski”, nawiedzałem Starówkę w i iare możliwości i specjalnych okazji, jak otwarcie muzeum w domu Baryczków, jakiś zjazd w kamienicy Książd Mazowieckich, jakiś festiwal teatralny, wystawa napoleońska, wypoliczowanie Rynku, otwarcie starego Fukiera o nowym wnętrzu itp. Tak dorabiała się Starówka przez dwadzieścia lat, aż przyszedł najazd hitlerowski zakochany dla Warszawy powstaniem 1944-go roku.

Dziś patrząc z zdumieniem oczami widząc, co może zrobić naród, gdy sam dla siebie buduje oczywiste. Ile i jakie siły jest w stanie ze siebie wydobyć, jakich nadzwyczajności dokonać. Do ze Starówką dziejów się rzeczy nadzwyczajne. Jeszcze nigdy nie byś Rynnek tak piękny, nawet za czasów swego renesansowego rozkwitu przed wojnami szwedzkimi i przed zdeptaniem miast przez nacierające.

Próbowano go zdołnić w międzywojennych latach, ale owa polichromia była raczej zamalowaniem jego murów wielokrotnie nieszczęśliwym, zwłaszcza przez brak planowego zharmonizowania całości. Dzisiejsza istotna polichromia — wprost zachwyca. Nie tylko uniknięto błędów orzeszności, lecz wybrednie dokomponowano taką obfitość stylowych „latarni”, kominów, mansard i pięknych szczegółów architektonicznych, że gdy dojdzie do tego także całość Traktu Staromiejskiego, będzie miała co podziwiać nie tylko Polaka, ale i „ościnni narodowe”.

A mnie się szczęśliwie złożyło, iż pod „kres wędrowki” les znówu zakwaterował mnie na Starówce, za co mu jestem głęboko wdzięczny.

Kazimierz Wroczyński

Czy tylko „podręcznikarze”

Po przeczytaniu artykułu Tadeusza Peipera „W jaskini Iwa” („Nowa Kultura” z dnia 21 czerwca 1953 r.) stwierdziłem się w przekonaniu o słuszności żądań nauczycieli w sprawie dostarczenia im podręczników dostosowanych do programów nauczania i wymagań stawianych przez nadzór pedagogiczny odnośnie wyników nauczania. Jakże często w czasie wizytacji szkół nauczyciele języka polskiego na konferencjach Rad Pedagogicznych lub w indywidualnych rozmowach żalą się na nieodpowiedni dobór tekstu literackiego w podręczniku, na podstawie którego mają zrealizować tę pracę.

Czy w tej sprawie nauczycielstwo coś zrobiło? Oczywiście. Na każdej konferencji sierpniowej w pracach sekcji języka polskiego nauczyciele wysuwają wnioski, mówią o trudnościach, wskazują konkretne przykłady nieodpowiednich tekstów w podręcznikach, wykazują niezgodność podręczników z programami, domagają się wydania książek, o których jest mowa w programach, krytycznie oceniają układ programu języka polskiego i podają propozycje zmian.

Robotnik nie mający dobrych narzędzi i sprzętu technicznego nie jest w stanie pracować wydajnie i dobrze, lecz będzie wykonywał braki, produkcja jego będzie zła. A przecież szkoła również produkuje. Brakorobstwo naszych szkół w zakresie języka polskiego jest niepokojące. Nie wystarczy jednak stwierdzić, że zło istnieje i całą winę zwać na „podręcznikarzy”. Niezależnie autorzy podręczników biorą na siebie olbrzymią odpowiedzialność — mają bowiem dostarczać narzędzi do produkcji, zabezpieczać realizację programów nauczania. Słusznie Tadeusz Peiper bije autorów podręczników za to, że nie zwrócili się do pisarzy z propozycją wspólną i dostarczenia odpowiednich tekstów do czytania, że nie przedyskutowali z pisarzami treści samych czytań. Pisarze mogliby przecież przyjąć nam z niemałą pomocą.

Ale nie tylko na tym polega wina autorów podręczników. Wina ich leży również w tym, że nie omówili, nie przeanalizowali projektu podręcznika z nauczycielami języka

polskiego. Na pewno dużo dałaby autorom taka rada.

W każdym województwie istnieje Ośrodek Doskonalenia Kadr Nauczycielskich z poszczególnymi sekcjami, wśród których nie brak oczywiście sekcji języka polskiego. Wprawdzie podręczniki piszą przezwyciężają autorzy mieszkający w Warszawie, ale mimo to można się przebieżkę skontaktować przynajmniej z sekcją warszawską i omówić układ podręcznika z ludźmi pracującymi w terenie, żyjącymi zagadnieniami realizacji programów, znającymi trudności i kłopoty nauczycieli.

Czyżby autorzy podręczników zapomnieli o instytucji, która właśnie ma troszczyć się i pomagać nauczycielom w ich pracy? O Instytucję Prac Pedagogicznych i Programowych w Warszawie przy ul. Górcewskiej? Przecież to tam powstają programy, tam bada się i analizuje wnioski z terenu, przypuszczalnie tam zatwierdza się i aprobuje „odreczniki do użytku wszędzie”. Trudno mi — nauczycielowi — uwierzyć w to, aby ktoś odpowiedzialny za napisanie podręcznika języka polskiego do kl. V zadowolili się takimi wytycznymi, jakie według Peipera otrzymują: „trzeba dać coś o konstytucji, trzeba coś dać o wsi i trzeba coś napisać o Złocie Młodzieży”. I to wszystko. Przecież podręcznik języka polskiego musi być przynajmniej polonistą, który w zasadzie nie musi się parzyć piórem, ale musi znać literaturę, znać możliwości umysłu dziecka.

Autor sam nie pisze, lecz dobiera teksty, a moim zdaniem powinno być inaczej. Autor mając przed sobą program nauczania musi jednak umieć „parać się piórem” i napisać odpowiedni tekst. Weźmy przykład podany w artykule przez Peipera. Program wymaga, aby młodzież zdawała sobie sprawę z tego, jak wyglądała miasto w Polsce w odpowiednich wiekach. Idzie o to, aby wykazać, że ciemny zakonnik ich tryby szynkarz „mleli” w owych czasach „zrząd dusz”. Oczywiście doskonale nadaje się do tych celów wyjątek z Monachomachii Krasickiego i właśnie to sugeruje program nauczania. Ale autor mógł sam na podstawie Monachomachii napisać krótkie opowiadanie, które odpo-

wiadałoby wyrażaniem programu, a zamiast wyjątku z trudnej Monachomachii umieścić w podręczniku łatwiejsze wyjątki z twórczości Krasickiego.

Gdyby autorzy podręczników byli w stałym kontakcie z Ośrodkami Prac Pedagogicznych i Programowych, na pewno nie byłoby „niedociągnięć” i autorzy podręczników nie znaleźliby się w „jaskini Iwa”.

Tu wracam znowu do mojej tezy, że nie tylko są winni autorzy podręczników.

Programy, jak mówiłem poprzednio, były dyskutowane na konferencjach sierpniowych nie raz i nie dwa razy. Dziwne jest tylko to, że odgłosy tych dyskusji i wnioski w sprawie zmian — nie znalazły się w literaturze do realizacji tych założeń — nigdzie nie dotarły, i autorzy podręczników nie o żadnych — „o do” — nie wiedzą. Ktoś za to ponosi winę. Oczywiście ten albo ci, którzy złożyli materiały do biurka i przesłali nad nimi do porządku dziennego. Winien jest ten, kto zreferował Ministerstwu Oświaty, że podręczniki nadają się do użytku w szkole. Podręczniki zanim zostały zatwierdzone przeszły przez dziesiątki rąk speców od języka polskiego i literatury. Dziwne tylko wydaje mi się to, że nie zauważono trudnego wyjątku z Monachomachii. Winni są ci, którzy wypuścili braki. Oczywiście, że nie umniejsza to winy samych brakorobów podręczników, którzy nie przejęli się powierzonym im zadaniem i zbyli robotę.

Jest obecnie lipiec, wakacje, urlopy, a początek roku się zbliża. Trzeba poprawić podręczniki. Nie łatwa to praca, niemniej musi być wykonana. W sierpniu na konferencjach nauczycielskich znowu będzie się mówiło o programach i podręcznikach. Trzeba koniecznie zrealizować słuszne żądania nauczycieli, trzeba im pomóc w ich pracy. Ministerstwo Oświaty do czasu wydania nowych podręczników winno dostarczać nauczycielom instrukcje programowe z podaniem tekstów zastępczych, które pozwolą realizować program nauczania w nowym roku szkolnym.

Feliks Nitke

Kierownik Oddziału Licealnego w Wydziale Oświaty Wojewódzkiej RN w Kielcach

U PRZYJACIOŁ

O CZERNYSZEWSKIM

W roku bieżącym ZSRR obchodzi sto dwudziestą piątą rocznicę urodzin Mikołaja Czernyszewskiego. Znakiem krytyki radzieckiej B. Riurikow pisze o Czernyszewskim w 7 zeszytach miesięcznika „Nowy Mir” w artykule pod tytułem „Wielkie tradycje estetyki rewolucyjno - demokratycznej”. Tytułem myśli rewolucyjnej nazywa Riurikow Czernyszewskiego, na równi z Bielińskim, Hercenem i Dobrolubowem. Ich artykuły — to gniew narodu, jego dążenie do wolności, utrwalone w słowach namiętnych i pełnych ożurzenia... przeciwko państwu, bezprawiu, uciskowi moralnemu”.

Czernyszewski żył i działał w okresie, gdy wszystkie zagadnienia społeczne sprowadzały się do zagadnienia walki z państwem. W swych doskonałych rozprawach z dziedziny historii, ekonomiki politycznej, filozofii i estetyki, artykułach publicystycznych i krytycznych pisał odważnie, logicznie, bezlitośnie demaskując ciemnotę i zacofanie, zadając ciosy ideologii reakcyjnej. Wraz z Niekrasowem i Dobrolubowem przekształcił czasopismo „Sowremiennik” w trybunę myśli rewolucyjnej; „Sowremiennik” stał się rzecznikiem wszystkich, co uczyli i postępowe w kraju. Czernyszewski był jednym z prekursorów materialistycznej tradycji filozofii rosyjskiej, tradycji, tak wspaniale reprezentowanej przez Łomonosowa, Radiszczewa, Bielińskiego i Hercena, pogłębiając zagadnienie współzależności między filozofią a polityką klas i partii. Poświęcił wiele prac klasowemu charakterowi filozofii. Oceniając jego zasługi w walce o materializm, Lenin wyraził się o nim jako o jednym wielkim pisarzu rosyjskim, który od lat pięćdziesiątych umiał pozostać na pozycjach materializmu filozoficznego, odrzucając brednie neokantystów, pozytywistów i innych krętarzy.

ZAGADNIENIE TYPOWOŚCI W ARTYKULACH GORKIEGO

Pod takim tytułem „Sowietskoe Iskustwo” (nr 49 br.) zamieścił artykuł A. Driemowa. Zadanie typizacji Gorki wysuwa jako warunek, bez którego nie może być mowy o prawdziwej sztuce.

„Typ — to synteza wielu poszczególnych cech, charakterystycznych dla ludzi określonego gatunku, sklepiarstwa, mniemów, mieszczan itd.” — mówił pisarz, polecając prace pisarza nad poszukiwaniem typowej postaci do pracy pisarza, która bierze po trochu z wielu kwiatów, lecz bierze to, co jest najpotrzebniejsze do zrobienia miodu.

Oczywiście że nie można tego rozumieć dosłownie — pisarz dobiera najpotrzebniejsze fakty wcale nie instynktownie, lecz świadomie — w miarę swojego poziomu ideologicznego. Partijność pisarza wyraża się przede wszystkim w tym, na jakie aspekty życia społecznego zwraca on uwagę, oraz jak i jakie typizuje on zjawiska i siły społeczno-historyczne oraz ich klasę lub zwycięstwo.

Gorki zwraca przy tym wielką uwagę na rolę fantazji. Nie ma to oczywiście wspólnego z pustym, nieodpowiedzialnym fantazjowaniem. „Wymyślił — to znaczy wyciągnąć z sumy realnych danych główny ich sens i przełać w obraz artystyczny — oto w jaki sposób otrzymaliśmy realizm” — mówił Gorki w referencji na I Zjeździe Pisarzy Radzieckich.

Właże się z tym ściśle zagadnienie przesady (zaostrożenia) artystycznej. W artykule „Zabawy literackie” Gorki na ten temat pisał: „...prawdziwa sztuka ma prawo do przesady... Herkulesowie: Pro-

Jedną z olbrzymich zasług Czernyszewskiego jest opracowanie zagadnień estetyki. W dziedzinie estetyki był on kontynuatorem dzieła Bielińskiego; uzasadnił teoretycznie i gorliwie propagował idee rewolucyjnego demokratyzmu i realizmu w literaturze. Dał on materialistyczną odpowiedź na najistotniejsze zagadnienie teorii estetyki — na zagadnienie stosunku sztuki do rzeczywistości. Swą znakomitą dysertację „Estetyczny stosunek sztuki do rzeczywistości” napisał Czernyszewski mając lat 25. Jasność myśli, głębokie zrozumienie problemów filozofii i sztuki, wszechstronne wykształcenie — oto co pozwoliło mu zwyciężyć w walce ze zwolennikami estetyki idealistycznej.

Czernyszewski rozprawił się z Heglem i jego szkołą „sztuki dla sztuki”. W ślad za Bielińskim i Hercenem rozwijał poglądy o ogromnym znaczeniu społecznym literatury i występował przeciwko teorii oddzielającej sztukę od życia i walki. Człowiek, którego reakcyjniści uznali nieomal za „wroga estetyki”, pisał:

„Czyżby estetyka nie zasługiwała już na naszą uwagę? Czyżby uwagi naszej godne były tylko badania bibliograficzne? Czyż mamy, z powodu drobnych błędów, zapominać o całości? Wydaje mi się, że pogląd taki, posiadający obecnie bardzo wielu zwolenników, jest jednostronny, i że jeśli uznajemy ważność badań nad poszczególnymi zjawiskami sztuki, to nie możemy nie uznawać ważności badań nad znaczeniem sztuki w ogóle. Dziwne byłoby wyłączenie historii powszechnej i wyłączenie uznania szczegółów oddzielnych wydarzeń, dziwne też jest negowanie estetyki na rzecz szczegółów z dziedziny historii literatury”.

Rację miał Czernyszewski namnie uzasadniając obiektywność piękna, prymat rzeczywistości nad

sztuką. Rację miał, gdy pisał, że dzieło sztuki nie jest wytworem wolnej, nieczym nie skrepowanej fantazji artysty, lecz obiektem rzeczywistości, owocem jej poznania. Gdy jednak twierdził, że sztuka jest namiaszką rzeczywistości — mylił się głęboko. Należy wydać się również — pisał Riurikow — jako rozważania nad tym, co wyższe: piękno przyrody, czy piękno sztuki. Ograniczony po części materializm Czernyszewskiego znalazł swe odbicie w jego poglądach estetycznych.

Zasługą Czernyszewskiego jest to, że tworząc swą rewolucyjną, demokratyczną teorię estetyki, tworzył przede wszystkim n o w e. Jako wyraził potrzebę narodu, walczył o sztukę, pozostając na usługach narodu i jego walki. Wielki krytyk widział zadania sztuki z wyżyny zadań ogólnonarodowych. Wskazywał, że perspektywy wspaniałego rozwoju mają przed sobą tylko te kierunki literackie, które „powstają pod wpływem idei silnych i żywych” i „odpowiadają rzeczywistym potrzebom epoki”.

Jedną z najważniejszych jest myśl Czernyszewskiego o krytyce, czynnej, kształtującej rozwój literatury: „Krytyka jest sądem o zaletach i brakach utworu literackiego. Jej doniosłość w tym, że ma wyrażać poglądy najbardziej wartościowego odbiorcy sztuki i sprzącać dalszemu ich rozpowszechnianiu wśród mas” — pisał Czernyszewski. Od krytyki rosyjskiej wymagał żywych i jasnomyślnych przekonań, ustalonych poglądów i prostoty w wyrażaniu ich. „Krytyka musi stać się o wiele surowsza, poważniejsza, jeśli chce być godna miana krytyki”.

Działalność Bielińskiego, Czernyszewskiego, Dobrolubowa — kończy Riurikow — to wielki zryw rewolucyjny i patriotyczny, którego ludzkość nigdy nie zapomni.

Las

NOVA KSIĄŻKA ANTONIEGO ZAPOTOCKIEGO

W Czechosłowacji ukazała się nowa książka Antoniego Zapotockiego. Książka ta nosi tytuł „Ręce w lasach. Z pamiętników z roku 1948” i składa się z trzech części.

1) Zyciściestwo lutowe potwierdziło właściwy kierunek Rewolucyjny Związków Zawodowych.

2) Związek Zawodowy gospodarzem w lutym w Czechosłowacji.

3) Nowe zadania Związków Zawodowych.

Artykuły i przemówienia zawarte w książce, to bogaty zbiór dowodów i przebieg długiego, bojownika o prawa robotnicze i jednemu z ruchu zawodowego w Czechosłowacji. Pochodzą one z okresu zwycięskiego zakończenia planu dwuletniego i podjęcia zadań pięcioletniego. Okres ten cechuje wadzenie nowych metod pracy i społecznego współzawodnictwa.

Antoni Zapotocki był w owym okresie nie tylko kierownikiem organizacji związkowej, ale przede wszystkim znakomitym wychowawcą. Nie tylko nie udało mu się poprowadzić ruchu zawodowy w ciągu swego rozwoju, ale ogranicza się tylko do wytykania błędów, lecz wskazuje środki do ich naprawienia, wskazuje drogę, po której należy kroczyć do zwycięstwa. Książka Zapotockiego jest więc jakby podręcznikiem, z którego czechosłowacka klasa robotnicza uczy się zwalczać przeszkody stojące na drodze do szczególnej przyszłości socjalistycznej.

Jeszcze jedna cecha charakterystyczna należy podkreślić w książce Zapotockiego, a mianowicie język. Zapotocki pisze językiem prostym, jednym, bez cienia literackiej stylizacji. Prosta języka jeszcze bardziej podnosi wartość tej książki.

t. z.

soj.

KORESPONDENCJA

BY SIĘ LITERACI PRZYJĘLI W NOWEJ HUCIE

W wyniku mego artykułu zwracają się do Dyrektora Budowy Miasta Nowa Huta literaci, zamierzający osiągnąć na stałe w miasteczku Nowa Huta. Dla wyjaśnienia sytuacji komisji rozdzielonej izbowy na rok 1953 został przez Rząd zatwierdzony, w rozdziale tym figuruje pewna pula iz rezerwy przydzielonych do dyspozycji Ministra Hutnictwa ob. Zmajta.

Ponieważ wydaje mi się słuszne, by w największej inwestycji Planu 6-letniego wzięli udział przedstawiciele naszej literatury, a największym wprowadzeniem ich w tę budowę byłoby ułożenie ich w nowym mieście, proponuję, by Związek Literatów ujął tę akcję w swoje ręce.

Konkretnie należałoby:

1. Uzyskać w Ministerstwie Hutnictwa odpowiednią pulę mieszkaniową.
2. Wytypować i skierować do zarezerwowanych w ten sposób mieszkań literatów — stałych mieszkańców pierwszego, socjalistycznego miasta.

Inż. Stanisław Zralek

DLACZEGO BRAK POWIEŚCI SENSACYJNYCH?

Jakkolwiek nie jestem żadnym krytykiem literackim, lecz tylko „szarym czytelnikiem”, pragnę poruszyć pewną kwestię, dosyć miłym zdaniem palącą dotychczas polskiej współczesnej literatury, a ściślej mówiąc pewnych jej luk. Mam na myśli zupełny brak na rynku księgarskim powieści sensacyjnych o detektywistycznym charakterze.

Oczywiście można pomyśleć na pierwszy rzut oka, że ten gatunek powieści jest przytępionym niesławem pamięci kapitalizmu i wraz z nim powinien zniknąć. Tak jednak wcale nie jest. W ustroju socjalistycznym powieści ta nie zniknęła, wcale, zmieniła się tylko jej klimat. Wezmijmy literaturę radziecką jako przykład: znajdziemy tam liczne pozycje repre-

zentujące b wysoką klasę powieści sensacyjnych, wystarczy, że podam tu drukowaną w piśmie „Ogoniok” w r. 1941 powieść „Niebieski aniel”, czy wydane po wojnie Nikulina „Złota gwiazda” lub też „Kłosek mr Clarka”, którą drukowały liczne nasze czasopisma i dzienniki tak-że pod tytułem „W portowym mieście”. Klimat sensacyjnej literatury radzieckiej jest zupełnie różny od tego, do którego przyzwyczajała nas przedwojenna literatura tego typu. Radziecka powieść detektywistyczna stawia sobie za cel tak samo wychowanie obywatela socjalistycznej ojczyzny jak pozostałe dziedziny literatury. Ale właśnie ten typ powieści może nauczyć obywatela codziennej czujności, przedstawić mu dobitnie niż innego typu utwory metody działania wroga itp.

Nie wątpię, że między naszymi literatami znajduje się wielu takich, którzy potrafiliby pisać dobre powieści sensacyjne. Ale trzeba im pomóc, wskazać wzory.

Jerzy Wikseł

Oświęcim

WINNO BYĆ ODWROTNIK

Proszę uprzejmie o zamieszczenie niniejszego sprostowania.

W recenzji mojej o poemacie Mieczysława Jastruna („Nowa Kultura” nr 27), w ostatnim paragrafie chciałem drukarski zniekształcić przytoczony wiersz poety, nadając mu sens wręcz odwrotny, niż miał. Wydrukowano mianowicie: „Może być szlachetniejszym w sztuce niż w życiu”, podczas, gdy słowa Jastruna brzmiały: „Nie być szlachetniejszym w sztuce niż w życiu”.

Janina Preger

O PEWNYCH ZNIEKSZTAŁCENIACH

W moim artykule pt. „Na marginesie powieści „Jeszcze Polska” (nr 28) pewnie zniekształciłem zdanie: „Prostuję dwa zdania (niezrozumiałe) w zapisie 4, które powinny brzmieć: 1) Dynamiczny, agresywny, zwrotny język satyryka-demaskatora świetnie ob-

sluguje partię treści „krytycznych”, „negatywnych”. 2) Gdyby poprzestać na analizie tylko formalnej — można by sądzić, że wstępna inspirowa satyra zdecydowała generalnie o dalszych perypetiach cyklu powieściowego; że autor nie użył w nim, w jednolitym toku stylistycznym, a sięgający w drugim tomie do innych środków wyrazu, popadł w zachwiania kompozycji, w zawiłą „trudność bogactwa”.

Wilhelm Mach

BRAKORÓB UKARANY

W związku z notatką zamieszczoną w nr 27 „Nowej Kultury” z dnia 7.VI 1953 r. pt. „Książka z przysgodami” wyjaśniam, że przykrzy wypadek brakorobstwa stwierdzony w egzemplarzu książki „Polska nowela fantastyczna” był przedmiotem dyskusji na naszej radzie w dniu 18.VI.53 r. W celu zapobieżenia na przyszłość podobnym wypadkom zrewidowano system pracy komitki technicznej, wzmożono czujność, zaś pracownicy winni brakorobstwa zwolniono z pracy, ze względu na stałe lekceważenie instrukcji technicznej.

Dyrektor Drukarni Wydawniczej Kraków

PRZEGĄD PRASY ZAGRANICZNEJ

WALKA Z MAC CARTHYM TRWA

spalono je na stosie przy zupełnej obojętności policji, która przypisywała się tej „akcji”.

Spalone książki — to dzieła Bert Andrews, Howarda Fasta, Corissa Lamonta i wielu innych, jeden z autorów spalonych dzieł — właśnie Lamont — którego zniszczone kilka egzemplarzy zostało wydane książki pt. „Cywilizacja radziecka”, wystosował w tej sprawie ostry protest do komisji senackiej dla spraw swobód obywatelskich. Zażądał on natychmiastowego dochodzenia, które by stwierdziło, kto jest odpowiedzialny za to pogwałcenie wolności słowa w łecie hitlerowskim stylu?

Lecz dochodzenia nie będzie. Musiałoby ono bowiem doprowadzić nieuchronnie do osoby pana Mc Carthy’ego. A to jest w USA niedopuszczalne.

I tak zarzucono mu w senacie właśnie... przestępstwa. Mówiono o konkretnych faktach, o łapówkach, o pobranych tantiemach od prywatnych firm. Zawsze jednak po pieczyńcy Mac Carthy’ego rdzapy jeszcze w porę ukroczyć łeb sprawie...

*

Sprawy te są mimo to tak znane wszystkim w USA, że nawet tygodnik „Colliers”, którego nie podobna posadzić o prokomunistyczne sympatie, nie ukrywa, że w jednym ze swych artykułów Tygodnik ten zapytuje ironicznie dlaczego Joe Mc Carthy nie zastępuje doczołgać samego siebie wspaniałej maszyny zwanej „wykrywaczem kłamstwa” (Lie-detector), której użycia w stosunku do podejrzanych o komunizm jest tak gorącym propagatorem.

Najlepiej charakteryzuje osobę Mc Carthy’ego oraz jego system angielski liberalny tygodnik „New Statesman and Nation”. Piszę on:

„...Analogia między Mc Carthym a Hitlerem jest zadziwiająca jasna... Jest on w aliansie z potężnymi grupami interesu obecnej Ameryki, włączając w to określenie istotne części amerykańskiego rzymskiego-katolicyzmu oraz wielu znanych przemysłowców. Antykomunizm łączy te siły społeczne. Jest to głęboka społeczna choroba, która znajduje swe ujście w antykomunizmie, tak, jak Niemcy hitlerowskie znajdowały w ujściu w antysemityzmie...”

*

Nie tak łatwo jest przeciwstawić się policyjnym metodom Mac Carthy’ego i Hoovera z osławionego FBI. Protestu-

jących rdzennych obywateli amerykańskich chronią jeszcze pewne konstytucyjne prawa. Tej możliwości ochrony są w praktyce pozbawieni mieszkańcy Stanów obcego pochodzenia. Za każdą próbę oporu placą oni drogę: deportację lub natychmiastowym uwięzieniem. Dlatego też ludzie tacy, nie chcący pogodzić się ze stanem rzeczy, opuszczają coraz częściej granice Stanów.

Do tej kategorii należy Tomasz Mann, który wyjechał z USA do Europy i ma zamiar zamieszkać w Szwajcarii. Gdy dziennikarze zapytali go o powód tej decyzji, odpowiedział on dość dyskretnie: „W Ameryce istnieje pewne ograniczenie wolności osobistej”.

Drugim jest amerykański znany powieściopisarz Stefan Heym. W kwietniu bieżącego roku — jak podaje „Democratic German Report” — opuścił on też Stany i przybył do NRD. Heym poprosił rząd Demokratycznych Niemiec o prawo azylu, składając przy tym publiczne oświadczenie:

„Stale wzrastający ruch profeszystowski, prowadzony w ramach działalności czynników rządowych USA czyni dla każdego uczciwego pisarza niemożliwym zbliżenie do czystelnika oraz właściwe wykonywanie swego zadania.

Rdzenny Amerykanin, który doznał utratę niezależności pisać pod dyktando FBI, Departamentu Stanu oraz wielkiego kapitału, względnie przesładowania za pisanie prawdy, podczas gdy jego prace będą odizolowane od czytelnika.

Dla pisarza amerykańskiego o obcym pochodzeniu wybór jest nieco inny. Musi on siedzieć cicho. Inaczej będzie zamknięty na Ellis Island, czy też w innym, istniejącym przy obwozie koncentracyjnym. Poza tym czekać go będzie deportacja.

Dlatego opuścił Stany Zjednoczone i zwrócił się do rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej o azyl polityczny tak dla mnie jak i dla mojej rodziny. Decyzja moja wzmożona została faktem, iż nie chcę być zmuszony do służby w armii USA wspólnie z niosącymi zarazę muchami i palakami oraz ramie w ramie ze skazanymi onegdaj hitlerowskimi przestępcami wojennymi.”

W wyniku zażętego przez siebie stanowiska Stefan Heym napisał list do prezydenta Eisenhowera, w którym żądał się obywatelstwa USA oraz zwrócił na ręce prezydenta order, który uzyskał w czasie ostatniej wojny walcząc w armii amerykańskiej przeciwko hitlerowcom.

*

Nie wszyscy w USA dają się zastraszyć. Niektórzy, jak Einstein, rzucają hasła, które znajdują odzewek w całej Ameryce. Za nimi idą całe grupy ludzi, które chcą solidarnie walczyć o przywrócenie wolności. O tę wolność, za którą walczyli Washington, Lincoln, Jefferson.

Na te omawiane wyżej palenia książek Stowarzyszenie Amerykańskich Bi-

bliotekarzy oraz Amerykańskie Towarzystwo Wydawców ogłosiło w prasie wspólną deklarację. Znajdujemy ją także w tygodniku „Time” z datą 6 lipca b. r. „Wolność czytania — jest deklaracją — jest zasadniczym elementem istnienia demokracji. Została ona zaatakowana. Prywatne grupy, a także i władze publiczne, w szeregu nieścisłości naszego kraju pracują nad zdejmieniem pswnych książek z wystaw sklepowych, nad ustanowieniem cenzury tekstu, nad czysztą bibliotek.

Te akcje powstają z myślnego poglądu, iż nasza narodowa tradycja wolności słowa minieła, oraz z tego, że cenzura i celki potrzebne są dla uniknięcia wytworów w polityce oraz korupcji w moralności. My, jako obywatele przyzwyczajeni do czytania książek, chcemy podkreślić w interesie ogółu znaczenie zachowania wolności czytelnictwa...”

*

Numer tygodnika amerykańskiego „Life” z dnia 13 lipca b. r. przynosi artykuł Whittakera Chambersa pt. „Czy wolność na uczelniah jest w niebezpieczeństwie?” Artykuł ten zajmuje się zanalizowaniem obecnego stanu nauki w USA, w świetle działalności „śledczej” senatora Mac Carthy’ego.

Nie wchodząc w szczegóły artykułu Chambersa, który stara się trochę wybielić pana Joe, warto przytoczyć kilka charakterystycznych wypowiedzi zebranych przez autora, które mogą charakteryzować atmosferę panującą na amerykańskich wyższych uczelniach.

Otóż Robert M. Hutchins — był rektor uniwersytetu w Chicago, stwierdza, iż „wszędzie w Stanach profesorusie uniwersyteccy są odcienieni atmosferą represji”.

Profesor Henry Steele Commager z uniwersytetu Columbia ujmując te sprawy jasniej i bardziej drastycznie: „Jestem w tej chwili w obliczu represji bardziej dzikich, bardziej głupich, bardziej niebezpiecznych niż kiedykolwiek w czasie trwania naszej historii. Nauczyciele i profesorusie boją się już poruszenia pewnych problemów na wykładach...”

Nawet naukowcy z Oceanu porsuszają się faktami z życia naukowego USA. Nawet nagdyżony już zębem czasu filozof brytyjski Bertrand Russel (wcale nie demokrat) zmuszony był zabrać w tej sprawie głos. Przysłał namienię między innymi: „Ameryka trzęsie się w kręświe terroru gdzie profesorusie są na lasce policjantów...”

*

Prawie w każdej geziece amerykańskiej, w każdym prawie czasopiśmie wy-czytamy słowa między wierszami wzmiągające o jakimś proteście, o odmowie zeznania, o czynnej lub biernej walce ze złem krwawiącym się w dzisiejszych Stanach Ludzi, którzy widzą to zło, jest coraz więcej.

J. G.

Poznaj morze

i ukochaj je

Pomoga Ci w tym książki obrazujące życie na morzu i w jego głębinach, piękno morza i piękno ludzi morza.

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

wydawało następujące książki z dziedziny marynistycznej:

Zbiorowe — MORZE, Wybór poezji i prozy, str. 228	22 —
Zbiorowe — WZR MORZA (nowele), str. 312	8.70
W. Bortnowski — POLSKIE DZIAŁANIA NA MORZU PODCZAS WOJ-	
NIS TRZYNASTOLETNIET, str. 48	3.—
J. Meissner — SKRZYDŁA NAD ARKTYKIEM, str. 188	12.50
J. Meissner — 6 Z „DARU POMORZA”, str. 324	14.—

PRZEKŁADY

O. Dżigurda — PAROWIEC KACHETIA, str. 174	7.50
S. Grigoriew — KURHAN MAŁACHOWY, str. 302	15.—
M. Jachontowa — OKRETY WYCHODZA NA MORZE, str. 457	16.—
E. Junga — ŁUDZIE MORZA, str. 352	11.50
L. Linkow — KAPITAN „STAREGO ZOŁWIA”, str. 236	5.80
A. Lurie — ADMIRAL S. MAKAROW, str. 277	19.—
M. Panow — BOSMAN Z „MGLY”, str. 142	5.30
M. Panow — OPOWIEŚĆ O DWÓCH OKRĘTACH, str. 320	10.80
G. Szorm — ADMIRAL USZAKOW str. 291	14.—
N. Tarasow — MORZE ŻYJE, str. 318—120 ilustr.	18.—
E. Tarle — NACHIMOW, str. 128	6.—
J. Winiokurov i F. Floricz — SACHALIN WYSPA SKARBOW, str. 162	6.—
W. Wojewodin i E. Ryss — SZTORM, str. 339	7.80
J. Wsiewołodski — OKRETY ODPEŁYWAJĄ, str. 204	8.45
J. Wsiewołodski — TWOJE DROGI WIODĄ PRZEZ MORZE, str. 270	15.—

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI STO PROCENT

W KINIE I GDZIE INDEJ

Pudowkin



Znany „amerykański” cykl utworów Włodzimierza Majakowskiego, utworów o silnym zacięciu publicystycznym — wierszy i szkiców na temat Ameryki i amerykańizmu — napisany został w czasie paromiesięcznego pobytu poety w Ameryce Północnej (Meksyk i Stany Zjednoczone), a częściowo po powrocie stamtąd do kraju socjalizmu.

Zamieszczamy poniżej jeden z owych wierszy wraz z „wprowadzającym” go szkicem, tym bardziej że ten ostatni, dotyczący, jak zresztą i większość pozostałych, imperializmu amerykańskiego, nie zatracą dziś — po 28 latach — żywej aktualności. Nawiasem zauważę, że należy on do najkrótszych; prawie wszystkie inne przerastają rozmiarami wielokrotnie umieszczone bezpośrednio po nich wiersze.

Kiedy mówi się „Ameryka”, w wyobraźni zarysowuje się Nowy Jork, wujaszkiwie z Ameryki, mustangi, Coolidge itp. właściwości Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Dziwne lecz prawdziwe.

Dziwnie dlatego, że Ameryki istnieją całe trzy: Północna, Środkowa i Południowa.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej nie zajmują nawet całej Północnej — a tymczasem patrząc na ich! — odebrali, przywłaszczili sobie i usurpowali nazwę wszystkich Ameryk.

Prawdziwe dlatego, że prawo nazywania siebie Ameryką Stany Zjednoczone wzięły przemocą, dreadnoughtami i dolarami, napędzając strachu sąsiednim republikom i koloniom.

Podczas krótkiego, zaledwie trzymiesięcznego mego pobytu, Amerykanie zachręścili żelaznym kutakiem przed nosem Meksykanczyków z powodu meksykańskiego projektu nacjonalizacji wnętrza swojej własnej niezaprzeczonej ziemi, posyłali oddziały na pomoc jakimś tam rządowi, wypędzanemu przez lud Wenezueli, niedowzuszcznie dawali do zrozumienia Anglii, że w razie niespłacenia długów może zatrzeszczeć w posadach chlebodajna Kanada, podobną ewentualnością częstowali Francję, i przed konferencją w sprawie spłaty długu bądź to posyłali lotników do Maroka na pomoc Francuzom, bądź nagle stawali się filomarokańczykami i ze względów humanitarnych lotników odwoływali.

W przekładzie na rosyjski: buł forsz — dostaniesz lotników.

Ze Ameryka i Stany Zjednoczone A. P. to jedno i to samo — wiedzieli wszyscy. Coolidge nadał tylko formę temu interesikowi w jednym z ostatnich dekretów, nazwawszy siebie (Yankesów) i tylko siebie Amerykanami.

Daremny tu ryk protestu wielu dziesiątków republik i nawet innych Stanów Zjednoczonych (np. Stanów Zjednoczonych Meksyku), tworzących wspólną Amerykę.

Słowo „Ameryka” zostało też zaanektowane ostatecznie.

Lecz co się kryje za tym słowem?

Co to takiego Ameryka, co to za naród amerykański i co to duch amerykański?...
B. Ż.

LISTY Z DALEKIEGO WSCHODU (5)

Amerykanie i Filipińczycy

Nie to jest najgorsze, że jest gorąco — mówi Mitek zaciągając przed lustrem krawat na pocącej się szyi. „Od tego są tu tropiki, żeby było gorąco. Ale kto ma jaki pożytek z tego, że jak półgłówkę muszę w tej łaźni paradować w marynarce i krawacie, to naprawdę nie wiem”. Dalszy ciąg jego wynurzeń ginie w niewyraźnych pomrukach, które przechodzą w desperackie przekleństwa, kiedy okazuje się, że w czasie zawiązywania krawata przemókł mu i zwiotczał z kolei kołnierzyk.

Na ścianie obok łóżka okrytego moskitierą jak muślinowym baldachimem wisi regulamin hotelowy, a w nim postanowienie, że w porze obiadowej w restauracji obowiązują marynarka i krawat. Nawet zresztą tam, gdzie takich oficjalnych zawiadomień nie ma, bez marynarki i krawata, a czasem bez tzw. „tropikalnego smokingu” iść nie można — czy to będzie konferencja, czy spotkanie handlowe, czy posilek.

Pojęcie marynarki jest zresztą, jak się okazuje, bardzo rozciągliwe.

Na Filipinach produkuje się „pine tree” — specjalny biały materiał bardzo kosztowny, który wygląda tak jak nasza firanka — z materiału tego robi się specjalne bluzy, które uchodzą za narodowy strój filipiński i umożliwiają wstęp do eleganckich „lokali” na równi z marynarką. Stroje te są zupełnie przezroczyste.

Najzabawniejsze jest jednak jeszcze co innego. Jadalnia hotelowa składa się z właściwej sali jadalnej (oczywiście bez ścian bocznych) i ogrodu, w którym stoliki stoją pod palmami — kto woli, je pod dachem; kto woli, je pod palmami. Dalsza część tego ogrodu zajęta jest pod pływalnię do której wstęp mają tylko goście hotelowi. Na pływalni również są stoliki i również można sobie z hotelowej restauracji zamawiać napoje i owoce. Pływalnia odgródzona jest od ogrodu niskim, półmetrowym żywopłotem. Otóż gentleman, który znajduje się po lewej stronie żywopłotu musi pić swoją whisky and soda w marynarce i krawacie — gentleman, który znajduje się o pół metra od niego po prawej stronie żywopłotu i który z nim rozmawia, pije swoje whisky and soda w majteczkach kąpielowych, a obsługują ich obu ten sam kelner w białym uniformie.

Zadnego znaczenia nie ma fakt, że przeciętny Filipińczyk w białej otwartej koszuli z krótkimi rękawami jest dużo „przyzwoiciej” ubrany, niż gentleman w cienkiej jak pajęczyna pinji, przez którą widać owłosioną pierś, czy gentleman w majteczkach kąpielowych. Chodzi o to, że cały ten na pozór beznamiętny rytuał stwarza jeszcze jedną nieprzekraczalną przeszkodę między tymi, którzy pieniądze mają, a tymi, którzy ich nie mają — i aby tę przegrodę utrzymać gentlemani idą nawet na taką ofiarę, jak pocenie się pod prostopadłymi promieniami słońca w marynarce i krawacie.

Kupony...
obligacje...
dolary...
centy...
W głuszy winniczej, gdy mi sobie kasztelanil,
tak go-m malował,
taki mi się wydawał
w stu procentach

Amerikanin:
Powiła syna jedna z kobiet.
Odchyliwszy
pieluszk kraj,
akuszer demonstruje:
John co się zowie.

All right!
Dziesięć funtów,
a czy — dolary.

Dwuzereg zębów szczerząc na gwałt,
ojciec
przetart
rogowe okulary:

All right!
Wychowania kwestia
bardzo prosta.

Czolgą się,
ze stolka fajt.

Leb tu rozbil —
all right!
nos tam —

All right!
Ojciec powiada:
„Walkoń John.

Centa nie zarobil,
a gania, wariat!”

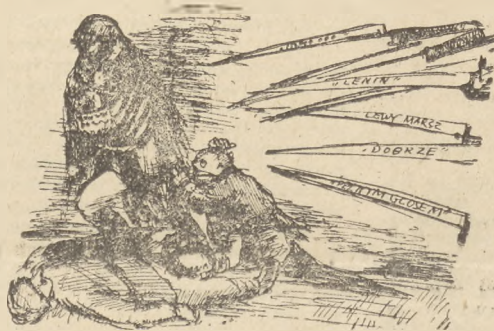
Smarkaty
John
porzuca dom.

All right!
Texas
Kalifornia

Przemierza
Idaho
Stanów kraj.

Jest chleb —
all right!
brak go —

All right!
all right!



B. Ż.

Ilustrował I. Celnikier

Na pozór w Manili liczy się bowiem nie kolor skóry, ale pieniądze. — Za szybami ostatnich modeli Cadillaców i Buicków przeważnie widać ciemnocnych gentlemanów o nieruchomych twarzach. Tzw. białych widzi się mało i są oni otaczani względami tylko proporcjonalnie do grubości portfeli.

Jest tylko jeden wyjątek — Amerykanie. Amerykanami burżuazja filipińska chwali się tak jak lokaj chwali się bogactwem, rozrzućnością, czy rozpusztą swego pana. Tak jak dla lokaja hierarchia społeczna wygląda następująco — najpierw jego pan, potem ci, co są blisko jego pana, m. in. on, lokaj, a potem dopiero wszyscy inni, tak dla wychowanej przez Amerykanów, w ciągu 50-letniego panowania górnej warstwy zamerykanizowanej burżuazji i biurokracji filipińskiej na szczycie hierarchii są Jankesi, potem wybrane 10 tys. Filipińczyków, którzy również czują się przeciw prawie Jankesami, a potem wszyscy inni, Francuzi, Anglicy i Włosi. Na samym końcu są Filipińczycy, którzy nie chodzą w marynarkach i krawatach.

Hotel Manila jest bardzo kosztowny. Rozmawiam o tym z dyrektorem miejscowej agencji podróźniczej, której powierzona została przez rząd opieka nad delegacjami. Mówi:

„Tak, wie pan, kilka delegacji (z naciskiem) europejskich skarży się na to. Rzeczywiście dla (z naciskiem) Europejczyków hotel może się wydawać kosztowny — wiem, że np. delegacja angielska ma trudności. Ale my tu mamy standardy amerykańskie (używa określenia „States” — Stany — tak mówią o USA Amerykanie).

Idziemy do dzielnicy chińskiej coś kupić — dzielnica chińska, tak jak we wszystkich „miastach południowowschodniej Azji, jest bowiem równocześnie dzielnicą handlową. Wzdłuż wszystkich ulic dzielnicy sklepy są stłoczone jeden tuż przy drugim, w każdym domu mieści się ich kilka, i zajmują cały parter, bez żadnych przerw. Ze względu na temperaturę sklepy nie mają ani ścian, dzielących je od ulicy, ani żadnych szyb wystawowych, całe wnętrze jest otwarte i widoczne od strony ulicy, towary rozłożone są na stołach i półkach. Towary, to prawie wyłącznie amerykańska tandeta — czasem zdarzy się partia towarów japońskich. Dzielnica handlowa jest olbrzymia i sklepów są tysiące.

Wchodzimy do jednego z nich.

W przeciwległej ścianie sklepu ze zdziwieniem spostrzegamy korytarzyk, wiodący gdzieś dalej. Okazuje się, że prowadzi on do następnego, innego sklepu, położonego bardziej w głębi zabudowań. Co więcej, z tamtego następnego sklepu prowadzi korytarzyk do trzeciego, położonego jeszcze głębiej i tak dalej, prawie jak w dziecięcej zabawce, która polega na tym, że jak się otworzy duże drewniane jajko, to w nim znajduje się drugie, mniejsze, w tym trzecie, jeszcze mniejsze i tak dalej. Okazuje się, że dzielnica handlowa w ogóle nie ma parterów — wszystkie domy przebiega są wszczep i wzdłuż rzędami łączących się ze sobą sklepów, którymi można przechodzić w dowolnym punkcie z jednej ulicy na drugą równoległą czy prostopadłą, jak jakimś olbrzymim i skomplikowanym systemem pasażów. W sklepach siedzą dziesiątki czy może setki tysięcy sprzedawców i ich licznych rodzin — inni sprzedawcy siedzą przed sklepami przy straganach.

Podrasta,
spluwając tu i ówdzie.
Fajeczka
pali się, nie spala
„John,
o zakład:
a na księżyc pójdziesz?”

All right!
Pokochał jedną
i leży u nóg jej.

Gra zapalczywie
w raj.
Ta go zdradziła,
poszedł do drugiej.

All right!
Spadek dla Johna.
Pasywów —
rój dług.

Million rozciął ze strat.
Obliczył,
ośmlechnął się —
znajdziemy drug.

All right!
Praca.
Gospodarz,
stary wróbel —

Okrada,
nie przysłada fałd.
John
to sobie zakarbował
na nosie chudym.

All right!
Gospodarz wygnął.
No i cóż!

John
porachunkom rad.
Gospodarz za cół,
John za nóż.

All right!
John
gospodarską kulą trafiony.

Szepczą:
„Opuszcza świat”.
John to usłyszał,
uśmiechnął się Johny,

All right!
Trumna.
Wyrzyto kwadrat czarny.

Grudy ziemi —
jak po dachu grad.

Zagrzebano.
Grabarz
z ulgą przystanął.

All right!
Tych Johnów
nie ma w Nowym Jorku.
Mister John
wraz z żoną,
wraz z kotem,

przytyli,
spią twardo
w zatęchłym kantorku,

budząc się
niekiedy
od czkawki łaskolek.

Jestem pędziwiatr, wad cały mam szereg
lecz czapki grzecznie
przed losem
nie uchylam.

Ja —
poeta,
i więcej odkrywam Ameryk
od najbardziej amerykańskiego
Amerykanina.

tłum. Bogdan Żyrank

Nieraz w Manili zastanawialiśmy się, z czego właściwie żyje ta olbrzymia armia darmozjadów — wojsko, policja, administracja, wielka burżuazja i te setki tysięcy kupców i ich rodzin całymi dniami próżnujących przed swymi sklepikami. Na pozór odpowiedź nie jest trudna — administracja żyje z łapówek, wielka burżuazja z zamówień rządowych grubo przepłacanych, a kupcy ze sprzedaży towarów importowanych z USA po cenach nadmiernie wysokich. I kupna produktów rolnych od chłopów po cenach nadmiernie niskich. Ale z czego żyją oni wszyscy razem — i to żyją nieźle?

Za dzielnicą handlową ciągnie się targowisko, gdzie są sprzedawane produkty rolne. Targowisko nas olśniło. Trudno mi tu oddać bogactwo targowiska — kupcy ryżu białego nie jak śnieg, ale bielszego niż śnieg, wory i skrzynie maki, cebule wielkie jak jabłka, czosnek wielki jak cebula, skrzynie najrozmaitszych gatunków roślin strączkowych znanych i nieznanych w Polsce, stopy ananasów, bananów, dyni, setki gatunków ryb — setkami metrów ciągnęły się stopy produktów na stołach, deskach, w skrzyniach, workach, czy po prostu na ziemi. I tu chyba leży odpowiedź na postawione pytanie.

Małbrolny chłop czy robotnik na plantacjach pracuje 12 godzin na dobę — nie ma tam zimy, w czasie której natężenie pracy byłoby mniejsze. I teraz wyobraźmy sobie, jak olbrzymie bogactwo można wyłoczyć z kraju, który jest prawie tak wielki jak Polska i który położony jest na żyznych i bogato nawodnionych przez deszcze wyspach, rozciągających się między równikiem a 23 st. szerokości, gdzie jest wieczne lato, ziemia daje plony 2 i 3 razy w roku i to nie nasze żyto, ale ryż, trzcinę cukrową, nie nasze jabłka, ale kokosy owocujące 4 razy w roku (Filipińczycy dawali przed wojną połowę światowej produkcji kopy), olbrzymie ananasy, dynie, nie nasz len i konopie, ale cenne włókno manilowe poszukiwane na całym świecie. Przez zastosowanie beztroskiego wyzysku 20 milionów filipińskich chłopów i stworzenie organizacji, w której jeden Filipińczyk zmusza z rewolwerem maszynowym w reku drugiego Filipińczyka, by pracował dla Amerykanów, USA zbudowały system, który daje tak wielkie nadwyżki, że mała cząstka z nich wystarczy, by nieźle opłacić i posłusznych urzędników, i policję, i filipińską burżuazję, jak dziedzic opłaca rząd albo ekonomia.

W Indiach, które mają już zaczątki własnego przemysłu, czy w Indonezji, gdzie siły Holandii były w widoczny sposób niewystarczające, by utrzymać w posłuszeństwie 80-milionowy naród indonezyjski, system się załamuje — tu na Filipinach, gdzie z jednej strony stoi najpotężniejszy w świecie kapitalistyczny drapieżnik — USA — uzbrojony w najnowsze i najcięższe przemysł, broń i środki propagandy — z drugiej zacofany, chłopski naród Filipin, system jeszcze działa i tylko trwające permanentnie powstanie Huków podważa jego podstawy.

Samych Amerykanów przeciętny Manilczyk nie widzi — rzadko tylko pokaże się jakiś krezusowo bogaty businessman lub oddział uzbrojonych po zęby bez cudzozyłow — wyrażenie powszechnie przyjęte — żołnierzy, jadących bombardować koreańskie miasta i wsie, którzy w jawny sposób pokazują Filipińczykom, jaki byłby ich los, gdyby spróbowali się wyłamać spod panowania amerykańskiego.

Jerzy Jurkiewicz



Zaledwie kilka miesięcy temu pisaliśmy o jego 60-leciu. Nie ma go dzisiaj wśród żywych. Lecz zostały po nim dzieła, które żyć będą i uczyć nas głębokiego umiłowania życia długie, długie lata.

Któż z nas nie zna jego wspólnych filmów?

„Matka”, „Burza nad Azją”, „Minin i Pożarski”, „Suworow”, „Zukrowski”, „W imię ojczyzny” (wg sztuki Simonowa „Rosjanie”), „Admiral Nachimow”, a w ostatnich tygodniach — „Ziwa” (wg powieści H. Nikołajewej) — to dzieła stanowiące epokę w dziejach radzieckiej sztuki filmowej.

Nielatwo osiągał swoje sukcesy. Zanim stworzył swój pierwszy wielki film „Matka” — przeżył wraz z całym młodym filmem radzieckim okres zmudnych i gorączkowych poszukiwań. A poszukiwania te i próby szły często w zupełnie błędnym, formalistycznym kierunku — były to bowiem pierwsze lata istnienia władzy radzieckiej, kiedy to w kinematografii, jak i w ogóle całej ówczesnej sztuce radzieckiej, bardzo żywotne były echa schyłkowych, burżuazyjnych nurtów, występujących najczęściej w masce ultralewicowego frazesu. Toteż gdy „Matka” ukazała się na ekranach — „wrażenie było tak nowe i wprost oszalamiające — pisze w swoich wspomnieniach o Pudovkinie artysta S. Gerasimow — że w pierwszej chwili nie byliśmy wprost w stanie wyjść z kinoteatru i pozostaliśmy na s-li do końca drugiego seansu. Wrażenie było takie samo, a nawet jeszcze większe. Długo potem chodziliśmy ulicami i mówiliśmy wszystkim na raz, jak to zaszewczają czynią ludzie, którzy byli świadkami wielkiego wydarzenia”.

Filmem tym Pudovkin wspólnie z Eisensteinem, który stworzył w tym czasie „Stajk” i „Pancernik Potiomkin”, zapoczątkował okres realizmu w radzieckiej sztuce filmowej. Od samego zarania swojej twórczości wykiwał on talent wielkiego epika filmowego, którego pociągały wielkie wydarzenia historyczne i wielkie bohaterские charakterystyki rewolucjonistów i bojowników o wolność ludu.

Cechami charakterystycznymi filmów Pudovkina są: ideowość, optyzm, monumentalność, zwięzłość i wyrazistość szczegółów, z których każdy stanowi szerokie uogólnienie zjawisk najbardziej typowych dla danej epoki i środowiska.

„Poszanowanie plastyczności szczegółu, umiejętność znalezienia takiego szczegółu i nadania mu zastrzonego wyrazu uogólniającego — pisze w swoich wspomnieniach Gerasimow — zawsze znamięnowało twórczość Pudovkina. Każdy jego film na długo pozostaje w pamięci widza dzięki plastyczności głęboko i dokładnie opracowanych scen. Nie sposób na przykład zapomnieć po obejrzeniu filmu „Admiral Nachimow” sceny śmierci admirała — głuchy stukot serca konającego przenika wszystkie kadry heroicznego finału. Słuchają go marynarze, słucha go morze i dźwięk ten staje się potężnym uogólnieniem: tak przestaje bić serce wielkiego Rosjanina”.

W młodości Pudovkin przygotowywał się do działalności naukowej i pracował jako aktor. Zainteresowań naukowych nie stracił do końca życia. Orientował się w zagadnieniach fizyki współczesnej, pasjonowało go astronomia i zrobił doskonały film na temat teorii Pawłowa. Miał zamiar stworzyć w przyszłości cały szereg filmów popularno-naukowych. Między nauką i sztuką widzieli on związek daleko ściślej niż powszechnie przyjęto sądzić. Wierzył, że właśnie przy pomocy filmu można będzie ukazać jedność nauki i sztuki.

Imię Pudovkina znane jest w całym świecie nie tylko jako imię wielkiego artysty — był on również wybitnym działaczem społecznym, członkiem Światowego Komitetu Obróńców Pokoju.

Nie ma go dzisiaj wśród żywych, lecz życie jego trwa nadal w jego dziełach i w krynicy jego dzieł przez zastęp artystów, których wychował i natrącił do wielkich, twórczych czynów w imię ostatecznego zwycięstwa świata postępu i wolności nad światem wyzysku i niewoli.

Tadeusz Żochowski

Redaguje Zespół
Kolportaż P P K „Ruch”, Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804 20 do 25
wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze więcej. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa” Warszawa, Poznańska 38, konto PKO 1-111-5589, tel. 8 23-09 Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Włókiodrukowe RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5,

4-B-18709